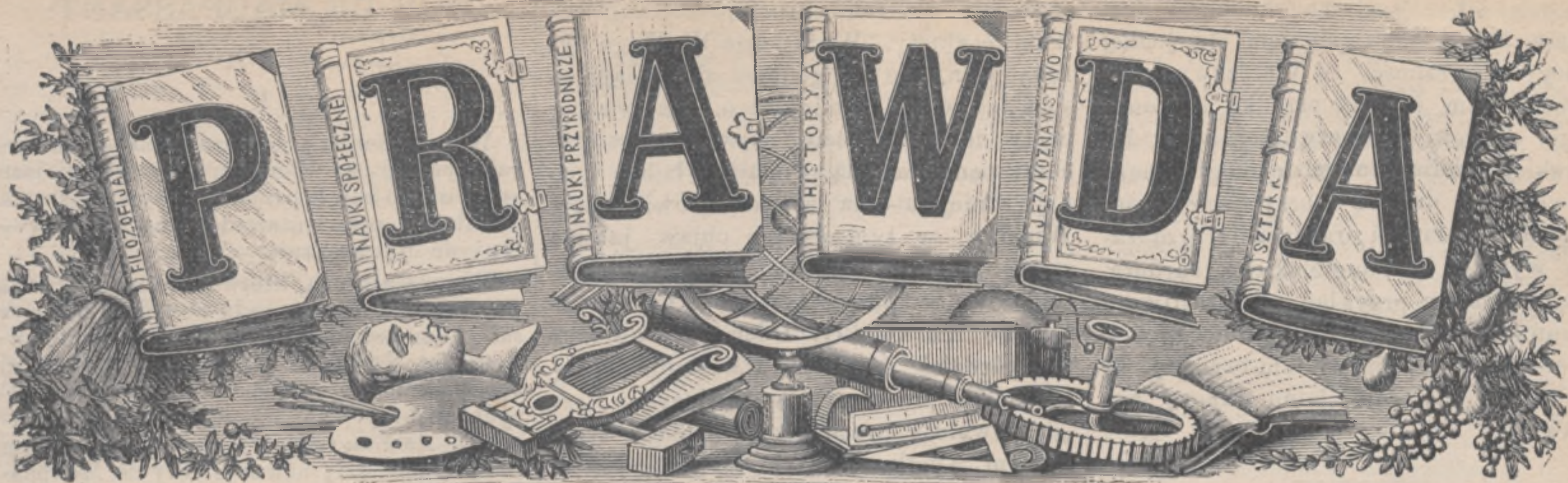
№ 23. Warszawa, dnia 6 Czerwca (25 Maja) 1885 r. Rok V.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentom przypominamy nadchodzący termin kwartalnej przedpłaty.

Cztery tomy **Głównych prądów literatury XIX-go wieku** Brandesa zostały uzupełnione i rozesłane abonentom. Ponieważ wszakże tomu czwartego dla niektórych przedpłacicieli nam zbrakło, prosimy więc ich jeszcze o kilka tygodni cierpliwości dla nowego skompletowania. Tomy: I, II i III w osobnej sprzedaży kosztują po rs. 1 k. 50, tom IV rs. 2; całe dzieło, którego cenę zniżoną rs. 4 (z przesyłką pocztową rs. 4 k. 50) pozostawiamy jeszcze, po skończeniu abonamentu kosztować będzie rs. 6, z przesyłką rs. 6 k. 50. Nadmieniamy, że zniżona cena nasza jest **cztery razy mniejszą**, niż wydania niemieckiego.

NASZE WYSTAWY.

Urządzane od lat kilku wystawy, dla których dotąd nie wynaleziono odpowiedniej nazwy i które rzeczywiście nazwać trudno, nie wyrobiły sobie dotąd ściśle określonej natury. Nie są bowiem ani rolnicze, ani przemysłowe, ani przemysłowo-rolnicze, ani hodowcze, ale obok bydła i koni, zajmujących plan pierwszy, mieszczą w sobie najrozmaitsze produkty, nie posiadając jednocześnie tych, które z gospodarstwem rolnem główny mają związek. Na Placu ujazdowskim można nie spotkać perlic, pawiów, osłów, kóz, nasion, worków, koszyków itd., ale za to są karety, fotografie, galanterye itd. Jeżeli ma to być wystawa rolnicza, to co w niej robią karety i powozy? Jeżeli przemysłowa, czemu brak setek wytworów pracy ręcznej i fabrycznej? Gdyby koniecznie trzeba było w niej szukać jakiejś zasady, to chyba zawiera ją przypuszczenie, że na Placu ujazdowskim odbywają się wystawy szlachecko-ziemiańskie. Rasowy koń, wół, baran i pies, maszyny gospodarcze, wreszcie karety, powozy i siodła — oto są główne przedmioty starań i zabiegów szlacheckich i one też stanowią rdzeń popisu. Natomiast setki płodów i narzędzi rolniczych, z którymi zwykle styka się nie pan, ale parobek, nie znajdują uwzględnienia *).

Jeżeli wystawy warszawskie są taką mozajką ułamków całości najrozmaitszych, to niepodobna się dziwić, że prowincyonalna radomska, pierwsza w tem mieście i okolicy, będąca z natury rzeczy niezdecydowaną i przygotowawczą na popis stołeczny, musiała narodzić się nieoznaczonym embryonem. Rzeczywiście trudno byłoby określić jej charakter. Jest to w miniaturze wystawa powszechna. Obok koni i bydła widzimy tam: zabawki i ubrania dziecinne, ramki do fotografij, a nawet szyldy, pomniki kamienne i surdut angielski. Ziemianin miewa dzieci, dla których potrzebuje ubrania i zabawek, miewa fotografie, dla których potrzebuje ramek, miewa groby, na których stawia kamienne pomniki, wreszcie ubiera się chętnie w surdut angielski, ale w jakiej łączności wszystko to pozostaje z rolnictwem? Więc może z przemysłem? Ależ wystawa radomska jest radomską, czyli winna w przybliżeniu wyrażać przemysł okoliczny, miejscowy, a gdzież do tego jej zadania przyczepić surdut angielski? Gdybyśmy poszli dalej za nicią tej logiki i gdybyśmy powołali wszystkich, mających cośkolwiek do pokazania, niedługo wystawianoby porcelanę sewrską, koniak francuski, korale neapolitańskie i koronki czeskie jako przedmioty produkcyi radomskiej, łęczyckiej lub wogóle polskiej. Bo przecie „surdut angielski" nie związany ściślej znaszym przemysłem, gdyż chociaż go nosi obywatel ziemski, żona tego obywatela ubiera się też w korale i koronki.

Jak dalece zaś wystawa radomska uwidoczniła brak stałego kierunku pracy swych uczestników, dość przeczytać jej spis. P. Biesiekierski np. przedstawił (według *Kur. Codz.*) „ryby i ogiera" a p. Wietrzykowski „krowę i miód do picia." Zapewne, można wychować ładnego ogiera a jednocześnie mieć ryby w stawie, jak również posiadać piękne krowy i przyrządzać miód do picia; ale różnostronność hodowli i wyrobu, powtarzająca się często, przekonywa, że mamy zbiór okazów przypadkowych, nie wyniki starań systematycznych i wyspecyalizowanych.

Jak rzekliśmy wszakże, względem Radomia nie należy zapominać, że jest to pierwsza próba zgrupowania owoców pracy gospodarczej prowincyonalnej. Z tego stanowiska sądzona wystawa nietylko zasługuje na pobłażanie, ale niewątpliwie wywrze bardzo dobroczynny wpływ na okolicę, którą pobudzi do życia. Oddawna i ciągle wykazujemy olbrzymie szkody, jakie nam wyrządza zbytnie ześrodkowywanie ruchu umysłowego i ekonomicznego w Warszawie, oraz wielkie korzyści, jakie by przyniosła decentralizacya tego ruchu, rozłożenie punktów ciężkości rozwoju społecznego na inne dalsze ogniska kraju. W Warszawie pod niejednym względem widzimy przeładowanie a na prowincyi niedobór. Lekarze, literaci, obrońcy sądowi, rzemieślnicy — wszyscy cisną się do stolicy, gdzie często nie mają co jeść, a tymczasem inne miasta i miasteczka

*) Wystawa tegoroczna podobno zwróciła się mocno w kierunku przemysłowej.

cierpią na niedostatek tych właśnie marniejących sił. Wystawa radomska jest właśnie takim wyzwoleniem się jednej okolicy z zależności od Warszawy, jest wzmocnieniem jednego ośrodka ekonomicznego. Dzięki nowootwartej kolei dąbrowskiej okolica ta będzie mogła emancypować się dalej i rzeczywiście dojść kiedyś do rozumnie i praktycznie urządzanych wystaw bez angielskiego surduta. Bodajby zaś ten przykład był zaraźliwym dla innych miast, na których obowiązek dźwignięcia się spoczywa tem bardziej, że już dawniej posiadają komunikacyę kolejową.

WIELKI POGRZEB.

Francuzi są mistrzami w urządzaniu wszelkich uroczystości, można więc było spodziewać się, że pogrzebowi W. Hugo nadadzą olbrzymie rozmiary i wspaniały charakter. Smutna wszakże uroczystość przekroczyła oczekiwane granice i rozwinęła się w ramach, w które ją zwyczaj oprawia bardzo rzadko. Dla uwidocznienia jej wyjątkowości — przytoczymy naprzód kilka szczegółów.

Obok prezesów obu Izb przemawiał nad zwłokami także minister oświaty Goblet. Na czele pochodu szedł prezydent Grévy ze swym orszakiem. Za nim postępowało ciało dyplomatyczne: ambasadorowie, ministrowie, wielki kanclerz legii honorowej, komendanci korpusów armii, deputowani i senatorowie, władze cywilne wszystkich kategoryj, rada municypalna Paryża, sądy, Izba adwokatów i rejentów, deputacye 140 gmin francuskich itd. Około zwłok tworzyły szpaler trzy pułki piechoty, szwadron gwardyi i kirasyerów.

Wyjęliśmy z opisu pogrzebowego tymczasowo kilka szczegółów dla zwrócenia uwagi na urzędową cechę, która obok narodowej odbiła się wyraźnie na tym wielkim pogrzebie. Poeta jest zawsze osobą prywatną, w składanych mu za życia lub po śmierci hołdach bierze udział społeczeństwo, ale nie rząd, który przestrzega pewnej etykiety. Wprawdzie W. Hugo był senatorem, ale ta godność nie pociąga za sobą tak wielkich odznaczeń. Za trumną poety idzie osobiście najwyższy zwierzchnik państwa, idą rozmaite władze, a co najważniejsza—idą ambasadorowie obcy. Widzimy w tym zbiorze objaw jakiejś szczególnej czci, łamiącej przepisy etykiety, jakiś silny poryw żywiołów, które unosić się nie zwykły. Uderza nas ów fakt tem bardziej, że przecie w trumnie nie leży wieszcz prawomyślny, grający na lirze „dobrowolnie urzędowej,“ jeden z tych, którym Apollo za życia daje ordery a po śmierci dożywotnią pensyę dla potomków. Przeciwnie, dyplomaci i ambasadarowie odprowadzają na wieczny spoczynek ciało jednego z Prometeuszów, któremu sęp serce wyżerał.

Widocznie są chwile, są wielkie smutki i żałoby, w których ludzie zapominają o różnicy swych stanowisk i dążeń a porwani prądem wspólnych, jawnych lub skrytych uczuć tworzą jeden potok płynący w kierunku szlachetnych natchnień. Uczucia takie mógł wywołać W. Hugo, genialny i szlachetny wieszcz naszego stulecia. Gdy po zgonie rozmaite żywioły zaczęły dowodzić swych praw do odziedziczenia jego kapłańskiej togi, okazało się, że żaden nie może jej wyłącznie posiąść i że muszą ją między siebie rozedrzeć.

I cała wrzawa o spuściznę, i ta wielostronność hołdu, i ten cały romantyzm pogrzebowy, który zwłoki mistrza wystawił na widok publiczny pod Łukiem tryumfalnym w najpiękniejszej dzielnicy Paryża—wszystko to ma swój urok a w połączeniu tworzy poważny majestat, który w historyi może nie znajduje poprzednictwa. Niewątpliwie, ludzkość postąpiła w swych uczuciach—tak nie chowano dawniej poetów, zwłaszcza tych, których Jowisz każe przykuwać do skały.

GUY DE MAUPASSANT.

I.

W gronie młodych uczniów szkoły naturalistycznej we Francyi najwybitniejsze stanowisko zajął przybrany syn Gustawa Flauberta, pisarz utalentowany i płodny—Guy de Maupassant.

Pierwszą pracą, która na niego zwróciła powszechną uwagę, była nowelka *Boule de suif*, zamieszczona w zbiorku, zatytułowanym *Les Soirées de Médan*. W książce tej zgrupowało się koło Zoli kilku poczynających pisarzy. Po ślicznej powiastce mistrza—*Atak na młyn*, znanej i w polskim przekładzie, szły utwory: Guy de Maupassanta, J. K. Huysmansa, Henryka Céarda, Leona Hennique i Pawła Alexisa.

Od tego czasu, a stało się to przed sześciu laty, każdy z tej drużyny, wstępujący śmiało w literackie szranki, dał się lepiej poznać czytającemu ogółowi; Maupassant jednak nie został wyprzedzony przez żadnego z towarzyszów i zatrzymał drugie stanowisko po swym wodzu.

Za *Kulką tłuszczu* poszły inne utwory — większa powieść *Une Vie* i cały szereg drobnych obrazków, ogłaszanych częściowo w dziennikach i drukowanych następnie oddzielnie pod zbiorowymi tytułami: *Contes de la Bécasse Les Soeurs Rondoli, Contes du jour et de la nuit*.. W szeregu tym wyróżniły się jeszcze dwie większe prace—nowela *Yvette* i ostatnia wreszcie powieść, *Bel-Ami*.

Już w *Wieczorach medańskich* młodzi pisarze wystąpili z odkrytą przyłbicą Pisali oni wówczas we wstępie, że utwory ich, ogłaszane zbiorowo, „połączone są jedną ideą, mają jedną filozofię.“ Odzywali się przytem wyzywająco prawie, że „przygotowani są na wszelkie ataki złej wiary i niewiadomości, do których przyzwyczaiła ich krytyka przygodna.“ Jedynem naszem staraniem — oświadczali wreszcie — jest zaświadczyć publicznie, w którą stronę chylą się nasze sympatye i jakie są nasze literackie tendencye...

Słowo „tendencya“ może zadziwić kogo w tem naturalistycznem wyznaniu wiary. Istotnie, naturalizm głównie przez usta Zoli, a choćby i Taine'a, po doktrynersku wyrzekał się wszelkich tendencyj. Hasłem miało być przedmiotowe opisywanie życia takiem, jakiem jest ono rzeczywiście w całej nagości, bez żadnych osłonek,

---

3)

BEZ POWROTU.

Widziała, jak nieraz wychodziły w towarzystwie mężczyzn; dawniej myślałaby może, że to ich bracia lub mężowie, teraz... wzruszała ramionami obojętnie, wszak ona między niemi tylko chwilowo! Nadszedł wieczór, mający rozstrzygnąć o jej artystycznej karyerze.

Przed wyjściem z domu kazała napalić w piecu; w najcieplejszym kącie ustawiła fotel i stoliczek z przyborem herbacianym i zapaloną lampą; chciała znaleźć wszystko na miejscu, niby przygotowane czyjąś troskliwą ręką. Pokój czysty, jasny i ciepły robił miłe wrażenie, z przyjemnością myślała o tem, że wróci zmęczona, rzuci się na sofę, odpocznie trochę, potem zaś włoży flanelową bluzę i zasiądzie do herbaty. Nowe zajęcie dawało jej określone stanowisko; była zadowoloną. Gdy wsiadła do dorożki, serce biło spokojnie; widziała siebie w greckim stroju: czerwona draperya obszyta galonem, spięta na obnażonem ramieniu. Strój ten miała już wczoraj na ostatniej próbie, dotąd jeszcze czuła dziwny chłód na rękach, szyi, na piersiach; zdawało jej się, że od wczoraj miała na sobie lodowatą skórę, której żadnym sposobem ogrzać nie mogła, że wszystka krew z obnażonych ramion zbiegła do policzków. Przyciskała dłoń do twarzy i coraz niespokojniej wyglądała z dorożki. Teatralna atmofera uspokoiła ją, w głowie szumiało, oświetlenie i dekoracye skakały przed oczyma, niesłyszała muzyki, nie widziała nawet czy śpiewa, czy tylko stoi z otwartemi ustami, obnażona do połowy w greckim kostiumie. Śpiewała lepiej niż zwykle, a że była ładną, dzięki reżyseryi, znalazła się na frontowem stanowisku przy lampach, które dozwalały widzom dostrzedz każdą żyłkę na jej szyi i ramionach. Stała jak w płomieniach; zdawało jej się, że wszystkie binokle zamieniły się w ogniste płomyki, które liżą jej twarz, plecy i piersi, palą w stopy. Zacisnęła pięści; chwilkę jeszcze, a uciekłaby ze sceny, albo przynajmniej zakryłaby oczy rękami. Z żalem, z wściekłością jakąś zerwała w garderobie ten strój przeklęty; nie spostrzegła, jak się znalazła na ulicy; odetchnęła całemi piersiami; cuchnąca atmosfera wydała się świeżą, orzeźwiającą, w porównaniu z piekłem, z którego uciekła. Chciałaby już być w domu, u siebie, zamknąć drzwi na klucz i wypłakać się szczerze, wówczas uspokoiłaby się trochę. Długi szereg powozów tamował przejście, w końcu udało jej się przeskoczyć na drugę stronę ulicy; uciekała jak od pogoni. Tymczasem w istocie pędził ktoś za nią, słyszała coraz śpieszniejsze kroki.

— Nie należy uciekać od dobrych znajomych — zawołał ktoś nad samem uchem; cha cha, cha, co to za dzikie stworzenia te chórzystki... pardon! śpiewaczki! O małom pani nie stracił w tłumie, pozbawiłabyś się wybornej kolacyi w wesołem towarzystwie! Czekają na nas, allons par içi będzie bliżej, daj mi pani rączkę.

Odskoczyła przerażona; nim zdołał ująć za rękę, była już na środku ulicy.

— Voilà... ça fait encore des aires... ça!— zawołał w największem zdziwieniu, ujrzawszy jak wskoczyła do dorożki i odjechała nie obejrzawszy się nawet.

Wieczór ten nieraz przychodził jej na myśl, z początku była zadowolona z siebie, potem żałowała trochę, że tak nagle opuściła artystyczną karyerę. Któż zgadnie, co ją czekało na tej drodze. Tymczasem

przedstawiania z fotograficzną niemal wiernością istotnej prawdy—i tylko prawdy!

Oderwanej atoli teoryi niepodobna literalnie stosować do życia, hasła przytem wszystkie nie wyczerpują obejmowanego tematu, zwracają co najwięcej uwagę na jakąś przeważającą dążność lub są godłem bojowem, przygrywką do treści istotnej, która odbiega często daleko od pierwotnego założenia.

Nawoływano przedewszystkiem do zapoznania się z rzeczywistością, i w tem leżała niezaprzeczona zasługa tej naturalistycznej estetyki. Niema kierunku, któryby zrywał zupełnie z tym gruntem—nigdy jednak nie można za wiele przypominać o nim. Występowano przeciwko tendencyi—i „naturaliści“ przystępowali do życia bez żadnych wyrobionych przekonań szerszego pokroju, bez żadnych „uprzedzeń“—co może być z jednej strony wadą, z drugiej jednak ubezpieczało ich od złudzeń.

Mówiono tylko o tendencyi „literackiej...“ Po za nią jednak: artystyczny temperament, przekonanie, jakie każdy musiał sobie wyrabiać, prąd zresztą, z jakim płynęli—wszystko to unosiło ich dalej, niż chciała sucha doktryna, wypisana na sztandarze ich literackiego pułku.

Badając życie, życie przedewszystkiem—naturalizm zwrócił się z szczególnem upodobaniem ku takim jego stronom, które dotąd pod wpływem obłudy, konwenansu, utartych wreszcie wyobrażeń, zdawały się leżeć po za obrębem piśmiennictwa, i mogły być chyba tylko przedmiotem literatury, nie mającej nic wspólnego z literaturą... W ten sposób rozszerzono zakres twórczości artystycznej i rzucono wiele światła na takie objawy natury ludzkiej, które częstokroć posiadają pierwszorzędne i donioslé znaczenie, a które jednak dotąd wstydliwie a raczej obłudnie pomijano.

Twierdzono także dawniej, że psychologia może się obejść najzupełniej bez fizyologii—nowsza jednak biologia wykazała, jak ściśle obie te dziedziny są z sobą złączone, nawet wtedy gdy zgodzimy się na pewną wzajemną autonomię zarówno „ducha,“ jak i „materyi.“ Twórczość naturalistyczna zwróciła się ze szczególnem zamiłowaniem do tej fizyologii, i nikt chyba nie zaprzeczy, że zdobyła na tem polu wiele.

Dla lepszego wyjaśnienia tego zwrotu należy jeszcze i to uwzględnić, że naturalizm we Francyi, z samej już swej zasady, zajął się społeczeństwem francuskiem wyłącznie, i że to społeczeństwo uległo zmianie w kierunku naturalistycznym, który ujawnienie wielu zjawisk w literaturze umożliwił. Inteligencya w całym świecie, ludzie zresztą wogóle mają wiele znamion wspólnych, kosmopolitycznych, mimo to jednak każde społeczeństwo posiada wiele odrębnych i jego tylko cechujących właściwości; wszelka zaś literatura odpowiada najlepiej temu narodowi, z którego wyrosła.

Rozszerzenie atoli zakresu literackiego w kierunku fizyologicznym nie było jedyną zdobyczą naturalizmu. Za pobłażaniem dla niektórych objawów poszedł bardziej ludzki pogląd na pewne stosunki, na pewne jednostki, a nawet warstwy całe, i w tem tkwi już tendencya społeczna, której się naturalizm zawsze tak wypierał. Nie wchodzimy w przesadę i nadużycia, towarzyszące każdemu zwrotowi ani w rozbiór tego co nie należy do twórczości „artystycznej“—słusznem jednak wydaje się nam zaznaczyć, że stosunki małżeńskie, położenie kobiet wogóle, a wreszcie dola upadłych—wszystko to znalazło w szkole naturalistycznej szersze wytłomaczenie, owiane często tchnieniem iście humanitarnem i pogłębione lepszą znajomością zarówno natury ludzkiej, jak i stosunków społecznych.

Naturalizm unoszony był zresztą prądem, który wziął w obronę wszystkich wydziedziczonych, a ostatnia zwłaszcza powieść Zoli jest dalszym etapem na tej drodze. Wszystko, co ciemne, opuszczone, wzgardzone, pomijane—znalazło tu swych gorących rzeczników...

Te pobieżne uwagi pomogą nam do bliższego zrozumienia utworów.

Celuje on głównie w drobnych obrazkach, których mnóstwo już napisał. Bardzo niewiele z nich skreślił na tle paryskiego życia. Przenosi czytelników zwykle gdzieś daleko na prowincyę, na południe lub północ Francyi, i tu opowiada zajmujące i charakterystyczne zdarzenia z życia wieśniaków, myśliwych, drobnej i zamożnej szlachty, ze świata wreszcie mieszczańskiego lub urzędniczego. Opowiadania te płyną lekko, wesoło lub smutno, zawsze jednak swobodnie bez przymusu i wysiłku. Tryska z nich obficie prawdziwy humor gallijski i werwa niepospolita. Autor umie wstrząsające dramaty zamknąć w miniaturach. Koloryt obrazów jest często smętny, rozlana w nich jakaś wyrozumiałość, lecz z drugiej strony także beznadziejność prawie, czarna, przygniatająca nas bezmiarem głupoty i poziomości natury człowieka. Nie rozdziera on mimo to szaty, nie wpada w rozczarowanie i hipokondrygę, lecz patrzy na świat z obojętnym pozornie spokojem, lubo czuć, że się z jego „porządkiem obecnym“ nie godzi. Wiele z tych obrazków—to prawdziwe pieścidełka pod względem rysunku, kolorytu i analizy, oprawne w śmiało rzeźbione ramy otaczającej przyrody. Styl przejrzysty, zwięzły i potoczysty.

Szereg opowiadań o szerszym zakroju rozpoczyna *Boule de suif*. Tak przezwano jedną z nadobnych kapłanek, żyjącą z ołtarza bogini Wenus. Rzecz dzieje się podczas najazdu prusaków w jednem z miasteczek na północy Francyi. W pocztowej karetce, zaopatrzone w przepustki niemieckiego generała, znalazło się liczne i różnorodne nader towarzystwo. Jest tu i okoliczny arystokrata z małżonką i parą grubszych przedsiębiorców miejscowych, także z połowicami, siostry miłosierdzia, udający demagoga bogaty republikanin i... „Boule de suif.“ Podróż ciągnie się niezwykle długo w śnieżny czas zimowy, droga fatalna, kraj zaś opustoszony dokoła, tak że niepodobna nic dostać do zjedzenia. Towarzystwo całe ucieka z okręgu, objętego pożarem wojennym, udając się do bezpiecznego Havru, wreszcie do Anglii. Rozmowa toczy się leniwie, wesołość bowiem odbiegła, a co gorsza—głód zaczyna dokuczać. Na nieszczęście w pośpiechu nikt nie wziął zapasów żywności—z wyjątkiem pulchniutkiej kapłanki Wenery. Patrzą na nią wszyscy pogardliwie, z ukosa, głód jednak łamie wszelkie konwenanse i towarzystwo rzuca się łakomie na obfity zasiłek, ofiarowany życzliwie przez towarzyszkę podróży. W rozmowie bohaterka wyróżnia się nader korzystnie z całego otoczenia, zachowuje się przytem z wielkim taktem i naturalnością. Po długich tarapatach grono to zajeżdża do miasteczka, gdzie poczta ma zmienić konie i gdzie na nieszczęście znajdują się prusacy. Papiery są w porządku, nie ma więc obawy, przegląda je jednak młody oficer niemiecki, i pożera łakomym wzrokiem posiadaczkę prowiantów. Ze zwykłą, zresztą, wojskowo—pruską zuchwałością oznajmia przez hotelowego nadobnej Boule-de-suif, że jeżeli nie podda mu się bezzwłocznie, całe towarzystwo osiądzie na koszu i nie ruszy dalej. Młoda dziewczyna nienawidzi niemców i oburza się na tę niegodziwą propozycyę. Towarzysze podzielają zrazu jej oburzenie, gdy jednak upływa dni parę na próżnem czekaniu, wszyscy zaczynają namawiać, żeby uległa dla dobra innych, z poświęcenia dla Francyi... Po

---

musiała zaniechać dalszych studyów, gdyż miała zaledwo czem opłacić mieszkanie, zjadała zaś resztki sprzętów i odzieży. O głosie swoim nie zwątpiła ani na chwilę; ile razy gospodyni, wdowa po urzędniku, wychodząc zostawiała u niej klucz od swego mieszkania, Lipska korzystała z czasu, żeby się poegzercytować na jej ostatecznie rozbitym fortepianie; powtarzała gamy, improwizowała trochę, tylko nie wracała do przeklętej aryi z ostatniego wieczoru w operze. Chciała dawać lekcye śpiewu, szukała uczennic. W tym celu przerobiła ostatnią już suknię z długiej na krótką, żeby mieć w czem wyjść na miasto, gdy się lekcye zaczną: z żałoby pozostała jej czarna okrywka, takiż kapelusz i rękawiczki, wszystko razem tworzyło dość przyzwoity komplet, będzie się mogła przedstawić w każdym domu; na arystokracyę zresztą nie rozliczała, w najlepszym razie dostanie się może do bogatych żydów... Cóż robić, byleby dobrze płacili! Na drzwiach swoich przybiła bilet, na którym dopisała ołówkiem: Nauczycielka śpiewu — i czekała. Czasami pomagała swojej sąsiadce szyć lub znaczyć bieliznę, robiła włóczkowe chusteczki i patarafki i pod największym sekretem oddawała je żydówce faktorce do sprzedania. W końcu zaczęła najmować się do grania na tańcujących wieczorach. Bez określonego zarobku żyć niepodobna, tem więcej, że i stary wuj akuratności nie grzeszył: przesyłał czasami dziesięć, czasami zaś tylko dwa ruble miesięcznie. Lipska przeklinała z całej duszy jego sknerstwo; parę razy napisała dość energicznie, domagając się pomocy—wuj przez kilka miesięcy nie przysłał ani grosza a w końcu odpisał, że dokąd żyje, jest panem swojej własności. Trzeba było upokorzyć się i przeprosić. Eeh, jak też ona przeklinała w duszy cały świat z jego młodem i starem pokoleniem. Pozornie zachowała jeszcze dawniejszą dystyngcyę i spokój: mówiła z cicha, uśmiechała się słodko nawet do faktorki, która oszukiwała ją na sprzedawanych robótkach. Ochrypłej mowy, ponurego wejrzenia, ostrych ruchów nauczyła się później, gdy zbankrutowawszy na wszystkich estetycznych nadziejach, została sklepową w galanteryjnym magazynie. Wówczas zaledwo zrozumiała życie. Sklep był ogromny, służby niewiele: w każdej chwili należało być trzeźwą, przytomną: o marzeniach i projektach musiała zapomnieć; liczba, miara i waga zapanowały nad fantazyą. Z początku myślała, że zwaryuje: zżymała się, a jednocześnie wytężała uwagę. Pod wpływem tych uczuć twarz przybrała nowy wyraz: powieki rozszerzyły się, cera zżółkła, wązkie usta zacisnęły się nerwowo, stara natura walczyła w niej z nowem życiem, pokrajanem na drobiazgową akuratność. Drżała z niecierpliwości, nieraz rzucała się w swej w swej klatce jak pantera: wymyślała usługującym dziewczętom, tupała groźnie nogą i mówiła przez zaciśnięte zęby. Trwało to parę miesięcy, przyzwyczajenie do swobody zaczęło drętwieć powoli, natomiast wytwarzała się wcale porządna sklepowa, która zrozumiała miary i wagi, pamiętała ceny, odpowiadała krótko, a słuchała uważnie. W wolnym czasie, kiedy sklep opustoszał chwilowo, stała za kontoarem nieruchoma, sztywna, ładnie uczesana, w czystym kołnierzyku i zgrabnej sukni — wyglądała jak lalka przebrana za człowieka. Właściciel sklepu nizki, otyły żyd, z czerwoną twarzą, z siwym podstrzyżonym zarostem, w lustrynowym surducie, bez kamizelki, zachodził tu czasami, żeby rzucić okiem na interes, rad, że wszystko idzie porządnie. Przy końcu miesiąca darowywał jej parę wybrakowanych rękawiczek. Wieczorem, kiedy razem sprawdzali rachunki, przysuwał się blizko, głowę pochylał nad jej ramieniem i sapał nad samem uchem. Odsu-

długiem wahaniu się, dziewczyna robi ofiarę i dyliżans wyjeżdża nazajutrz w drogę. Towarzysze i towarzyszki podróży nie patrzą jednak już teraz na dziewczynę, traktując ją z wyniosłą pogardą—a gdy głód znowu dokuczył, wszyscy spokojnie spożywają zabrane obficie zapasy. Tylko Boule-de-suif nic nie je, zajęta bowiem zbawianiem innych nie miała czasu się w nic zaopatrzyć. Nikt jej nie częstuje i głuche milczenie dyliżansu w ciemną noc zimową przerywają tylko krople deszczu, bębniące po szybach i ciche łzy pogardzonej.

Une Vie—to obraz większy. Bohaterką młoda kobieta, wychowana w dostatku, w posiadłości ziemskiej na prowincyi. Oczekuje ona od życia bardzo wiele, otrzymuje atoli bardzo mało: męża, człowieka ograniczonego, który ją przytem zdradza dla innej, dla służącej, dla sąsiadki... całe jej zresztą życie wlecze się powoli, nudno i szaro. Pod koniec przychodzi na dobitkę bieda a syn jedynak, zniszczony awanturami, umiera w nędzy i młodo... Zawiedzionej zostaje małe wnuczę, przed którem nie lepsza świta dola. Powieść, lubo nieco monotonna, celuje trafną analizą psychiczną.

Yvette jestto młoda dziewczyna, inteligentna, ładna, swobodna, wychowana troskliwie przez matkę, kobietę jeszcze młodą i piękną, wiodącą w Paryżu żywot zagadkowy. Dom utrzymywany na pańskiej stopie jest miejscem schadzek towarzystwa, przybierającego wszelkie pozory arystokracyi, będącego jednak w rzeczywistości półświatkiem. Śród tego otoczenia wychowuje się Yvette w zupełnej niewinności. Jedynie tylko większa swoboda w obejściu i w słowach (nie w myślach) wyróżnia ją od rówieśniczek z porządnego świata...

Z tej niewiadomości wyprowadzają ją natarczywe zaloty pewnego młodzieńca, któremu w dodatku jest wzajemną. Zaczyna wtedy patrzeć wokoło pilniejszym wzrokiem, i matkę własną podpatruje na gorącym uczynku. Zrozumiała wtedy, w jakich stosunkach żyje, widząc zaś, że niema dla niej wyjścia z tego położenia, postanawia się otruć. Woli nie żyć, niż być ladacznicą. Przedtem jednak—wypowiada matce, że wie o wszystkiem i prosi ją, żeby obie wyjechały i gdzieindziej zaczęły życie uczciwe. Matka słucha z początku zmieszana, później jednak budzi się w niej nienawiść do kobiet uczciwych, całego społeczeństwa i oświadcza, że jedynie dzięki swej piękności wyszła z nędzy, była w stanie ją wychować i że do ubóstwa powrócić dziś wraz z nią nie może. Yvette tedy postanawia się otruć i truje się istotnie. Wzięła jednak dozę za małą i zostaje uratowaną przy pomocy młodzieńca, który, jak sądziła, starał się o jej rękę. Powrócona do życia nie protestuje już więcej i zgadza się być jego kochanką... Powieść pisana wybornie pozostawia smutne wrażenie. Dodajmy, że maluje dobrze społeczeństwo francuskie.

(D. n.).

ROZWÓJ MORALNOŚCI*)

(według Ch. Letourneau).

I.

Wśród przesądów i błędów, powstrzymujących przez całe wieki pochód ludzkości, niektóre były tak wielkie, iż rozproszenie ich stawało się dla umysłu ludzkiego prawdziwem odrodzeniem. Takim był przedewszystkiem błąd zwany *geocentrycznym*, przedstawiający naszą maleńką ziemię jako środek, około którego miał krążyć w pokorze wszechświat cały. Takim był również błąd zwany *antropocentrycznym*, czyniący człowieka niejako półbogiem, dla którego potrzeb i przyjemności istniał świat cały—dzieło wszechmocnego stworzyciela.

Rozbiwszy kryształowe niebo starożytnych astronomów, Kopernik, Galileusz, Kepler poprawili błąd geocentryczny. Lamark, Darwin i ich współzawodnicy położyli nie mniejsze zasługi, sprowadziwszy człowieka na właściwe mu miejsce. Rozświecając jego pochodzenie, nakreśliwszy mu nawet drzewo genealogiczne, „tego upadłego boga tęskniącego za niebem" uczynili tylko najdoskonalszem zwierzęciem — dorobkiewiczem dość niskiego pochodzenia, ale obiecującej przyszłości.

Powstanie i rozpowszechnienie się tych prawd głównych jest dla ludzkości wypadkiem ważnym—odkryciem naukowem ogromnego znaczenia. Czem wobec nich są fakty, którymi dotąd prawie wyłącznie zajmowała się historya: wojny, zdobycze, upadki państw?

Cały ten krwawy zgiełk nie oddziaływa bynajmniej na moralną i umysłową stronę człowieka, gdy rozszerzenie jednej wielkiej prawdy nadaje działalności ludzkiej, we wszystkich jej objawach, nowy kierunek. Transformizm ożywił już nauki przyrodnicze; społeczne, polityczne, moralne, muszą uledz również przeobrażeniom. W tej dziedzinie, jak w każdej innej, zasada stałości i niezmienności utrzymać się nie zdoła. Zamiast opisywać i zaznaczać pojęcia i fakty, zwracamy się do badania początków i przewidywań przyszłości. Nasza urzędowa filozofia mówi nam jeszcze o moralności wrodzonej i niezmiennej, lecz niezadługo wygłosi przeciwne zdanie. Jakto, wszystkie istoty organiczne, nie wyłączając człowieka, są w ciągłym ruchu, a mniemane prawdy moralne miałyby pozostać niewzruszonemi? Jeśli rasy, jeśli mózgi zmieniają się bez przerwy—pojęcia muszą przeobrażać się również.

A zatem, jeśli moralność zmienia się i wogóle doskonali, jak to łatwo dowieść, po cóż mamy uważać ją za tajemnicę i świętość, kiedy przeciwnie wiele na tem zależy, by uczynić z niej prawdziwą naukę, powstałą jak każda wiedza z obserwacyi i doświadczenia, którą trzeba ulepszać nieustannie i prowadzić świadomie na drogę postępu.

Moralność jednak rozwojowa uznana już dziś przez tyle wybitnych umysłów, której ostateczne zwycięstwo jest tylko kwestyą czasu, spotyka na swej drodze dwie nieprzejednane przeciwniczki — teologię i metafizykę. Wysłuchajmy naprzód obie.

Przedewszystkiem należy zaznaczyć, że religie dość późno zajęły się moralnością. Po największej części fetysze, duchy i bogowie, wogóle wszystkie postacie fantastyczne dawniejszych kultów nie troszczą się najzupełniej o etykę. Jednakże gdzie niegdzie w społeczeństwach dzikich lub bardzo jeszcze barbarzyńskich można już w religii wynaleść elementarną sankcyę moralności. W Nowej Zelandyi naprzykład bogowie domowi karali kłótliwych chorobami. U czerwonoskórych cienie zręcznych myśliwych, wojowników zwycięskich przebywały na rozległej łące, rodzaju ziemi obiecanej, gdzie panowała wieczna wiosna, a mnóstwo błąkających się saren i bawołów dostarczało wybornego pożywienia—zabijano je bez krwi rozlewu. Dusze zaś pospolitych czerwonoskórych cierpiały głód i pragnienie w krainie północnej, okrytej śniegiem i lodem. Podo-

*) Zagadnienia etyczne zajęły w ostatnich latach szerokie grono badaczów. Zanim przedstawimy obraz ruchu naukowego na tem polu, podajemy w streszczeniu gruntowną rozprawę pisarza francuskiego, znanego u nas z prac innych.

---

wała go, krzywiąc się pogardliwie; najczęściej kończyła rachunki stojąc, nie czuła przynajmniej jego oddechu. O ósmej wracała do domu. Pokój opustoszał, w miednicy brudna woda, której nie zdążyła wylać zrana, śmiecie i kurz wszędzie, pościel nieczysta, pod łóżkiem walały się przydeptane pantofle. Dawniej, wróciwszy ze sklepu, robiła porządek: ścierała, zamiatała, myła się i rozczesywała swe bardzo piękne włosy; stopniowo zaniechała tych ceremonij: znużenie uczyniło ją obojętną na brud i niewygodę, zaledwie miała dość siły, żeby się rozebrać. Zasypiała, okrywszy się wprzód całą swoją odzieżą, gdyż w pokoju niezamieszkałym przez dzień cały chłodno było i wilgotno. Czasami jednak budziła się w niej dawniejsza natura — wówczas czuła się bardzo nieszczęśliwą. Nędzne otoczenie, praca machinalna, w końcu to życie bez ludzi, bez rodziny i przyjaciół było strasznie ciężkie i wstrętne zarazem. Myśl biegła w przeszłość, nie do zbytków i pieszczot młodości, nie do zamiarów rozwianych — dzisiejszy byt w porównaniu z latami szczęścia wyglądał jeszcze okropniej.

Oh, żeby już raz skończyć... — szeptała ponuro. Na piersiach drgał z lekka duży, srebrny zegarek, jedyna pamiątka po mężu; nie rozstawała się z nim nigdy, na noc wieszała go nad łóżkiem, w chwilach bezsilnej rozpaczy całowała gorąco, niby cudowne relikwie. Rozpacz ustępowała miejsca odrętwieniu, oczy otwierały się szeroko, konwencyonalnie uśmiechnięta twarzyczka przybierała znowu lalkowaty wyraz: zegarek uderzał głośniej — niż serce.

Podczas tej apatyi, graniczącej ze śmiercią, otrzymała list Gilewicza z lakonicznem zawiadomieniem o śmierci wuja.

— Nareszcie!

Było to pierwsze słowo, jakie wyrzekła po przeczytaniu. Miała kąt własny. Odrazu nie mogła temu uwierzyć. Czuła jednak, że należy... przedstawić się porządnie. Przed wyjazdem kupiła białą, gazową woalkę i duńskie rękawiczki; spieniężywszy materac, poduszkę, resztę odzieży kupiła ciastek na drogę i bilet drugiej klasy; było to niejako wynagrodzenie za przecierpiany niedostatek — w nowem życiu spotkała się ze starą słabością.

Wychodząc do Gilewicza, przystroiła się starannie: włożyła jedyną swą suknię z czarnego kaźmiru i starą jedwabną okrywkę, we włosy niżej kapelusza wpięła biały narcyz; chciała wyglądać porządnie i wesoło zarazem, pragnęła ukryć przed nim ślady nędznej przeszłości. Pewną była, że to on buntował przeciw niej wuja, że okradał go, nadużywał, może nawet wyłudził coś dla siebie. Gdyby jej powiedziano, że Gilewicz zabił starego i zjadł, nie uwierzyłaby może, ale i nie zaprzeczała, tak szczerą nienawiść czuła do tego intryganta, plotkarza, dzięki któremu musiała biedę klepać tyle czasu. Oho, prędzej spalę swój domek, niż odprzedam go temu złoczyńcy — myślała.

Lokajowi oznajmiła, że dziś wyjeżdża i kazała przygotować rachunek. Tydzień niewoli w dusznym hotelu zniecierpliwił ją ostatecznie; sypiała po całych dniach albo wyglądała przez okno; zrana wychodziła zwykle dowiadywać się, czy nie przyjechał Gilewicz. Wówczas spotykała najakuratniej swego towarzysza podróży, witali się jak dobrzy znajomi, schodzili ze schodów, przeprowadzał ją kilka kroków na ulicę i wracał, albo szedł w przeciwną stronę. Od lokaja dowiedziała się, że jest to p. Leon Żaba, że siedzi po całych dniach w domu, to jest na balkonie, pije selcerską wodę i pali cygara. Parę razy wieczorem chodziła z nim do ogrodu, jadła lody, za które on płacił, opowiedziała przytem o spadku i zmarłym wuju. Słuchał, ale się nie rozpytywał — przyszło jej na myśl, że

bnież dusze dobrych eskimosów, to jest takich, którzy nałapali wiele cieląt morskich, narażali się na wielkie niebezpieczeństwa, potonęli w morzu—dusze ich wchodziły po śmierci w świat podziemny, gdzie słońce świeciło bez przerwy, gdzie cielęta morskie, ryby, ptaki wodne pływały po przezroczystych wodach i dawały się łowić z łatwością. Wiele z tych stworzeń gotowało się dobrowolnie w kotłach rajskich. Religia starożytnych peruwiańczyków obiecywała także w przyszłem życiu dobrym roskoszny spokój a złym—ciężkie i nieskończone trudy. Lecz są to wypadki wyjątkowe, zajmujące jednak, gdyż odnajdujemy w nich początki etyki religijnej.

Pojęcia również proste zawiera pierwotna mitologia greków. Podług Hezyoda dusze ludzi złotego wieku, stawszy się dobrymi geniuszami, przebywają na ziemi, rozdając bogactwa, powściągając niesprawiedliwość; tymczasem duchy złych, przemienione w poczwary, znoszą udręczenia i doznają złośliwej przyjemności w niepokojeniu żyjących. Wogóle cześć duchów odgrywała ważną rolę w starożytności greko-łacińskiej. Przy grobach utrzymywano parki i ogrody dla przyjemności zmarłych. Przypuszczano, że ich dusze zajmują się losem swych potomków, wspierają ich, opiekują się nimi—i to było nawet główną nagrodą cnoty po śmierci.

Wierzono zresztą w istnienie porządku moralnego, którego bogowie nie byli twórcami lecz stróżami. Jedna z osób Euripidesa powiada: „ten, kto czci swych rodziców, jest kochanym przez bogów za życia i po śmierci.“ Bogowie jednak, przestrzegając najściślej moralności, nie pomyśleli o żadnej zmianie—nie byli bynajmniej transformistami i ich etyka była niewzruszona.

Z tej samej przyczyny metafizycy, co i teologowie, nie zdołali wytłomaczyć początku moralności. Byli nawet mniej logiczni, gdyż zdawało im się, iż mogą zachować większość pojęć moralnych teologii, oddzielając je od idej mitycznych, z których one powstały. A jednak odrzucając wiarę, trzeba się oprzeć na wiedzy. Nie uznać jednej i drugiej jest to pogrążyć się w niezrozumiałych subtelnościach i niepodobieństwach.

Jakkolwiek deontologiści — metafizycy oparli się na obserwacyi faktu, nie pomyśleli o poddaniu go analizie naukowej—przekładając gubienie się w mglistych abstrakcyach. Niezaprzeczenie u większości ludzi istnieją dążenia i wstręty moralne, których powstanie postaramy się niezwłocznie wytłomaczyć.

Gdy te wrażenia stały się instynktowemi, metafizycy stwierdzili ich istnienie i nie troszcząc się o ich rodowód, nazwali je umysłem moralnym, najwyższem dobrem, cnotą etc.—aby z nich uczynić podstawę etyki.

Wszystkich tych subtelności zbijać nie będziemy. Bentham osądził je należycie, pisząc następne słowa: „Kto powie—to jest tak, jak twierdzę, dla tego, że tak twierdzę, zdaje się, iż nie powiedział wielkich rzeczy; ale w sprawie moralności napisano grube tomy, których autorowie od pierwszej do ostatniej stronicy powtarzają to rozumowanie i nic więcej.“

Litość ogarnia, gdy widzimy, jak wielkie umysły (np. Kant) zadawalniają się słowami i jak ogół metafizyków bierze cienie za rzeczy. Słowo *obowiązek* zaślepiło filozofa królewieckiego—słowo, które Bentham chciał wyrzucić ze słownika moralności. Posłuchajmy Kanta. „Powinności! cudowna myśli, niepostugująca się ani zręcznością, ani pochlebstwem, ani groźbą. Ukazujesz się duszy w swej surowej prostocie, nakazując tem samem szacunek, jeśli nie zawsze posłuszeństwo. Wobec ciebie milkną wszelkie żądze, najbardziej nawet buntownicze. Skąd bierzesz początek?“

Moralność rozwojowa sądzi, iż zna ten początek, lecz Kant nim się nie zajmował. Według niego—każdy człowiek posiada zmysł moralny pierwotny, wszystkie pojęcia moralne mają swe siedlisko i początek *à priori* w rozumie ludzkim, chociażby prostaczym, nie są i nie mogą być nabyte—a w tem nawet leży ich wyższość. Z tego założenia na wskroś fałszywego wyprowadził wnioski szczególne: np., że dany czyn przestaje być moralnym, jeśli, spełniając go, doznajemy zadowolenia wewnętrznego. Czuć się szczęśliwym z przyjemności sprawionej bliźniemu jest niemoralnem!

Kant wyznaje zresztą, że w praktyce niepodobna znaleść czynu moralnego, mającego grunt tak czysto metafizyczny. „Znajdujemy wszędzie — powiada — ukochane własne *ja* zamiast przepisów obowiązku.“ Ale mniejsza z tem, niech przepadnie rzeczywistość, aby nie „kategoryczny imperativ.“

W dowodzeniach podrzędnych deontologów i metafizyków nie spotykamy niewzruszonej logiki Kanta, niecofającego się przed wynikami zasady nawet niedorzecznymi. Postępy filozofii naukowej niepokoją metafizyków—usiłują więc oni wynaleść nazwy, chcieliby pomimo wszystko pogodzić fakty obserwacyi z treścią słowną. Teologowie wszakże i metafizycy zgadzają się, ostatni są tylko mniej naiwni a więcej subtelni. „U jednych i drugich—mówi E. Veron—(*Morale*, 96), *dobro* metafizyczne uosobione w Bogu jest podstawą moralności. U jednych i drugich moralność przypuszcza wolną wolę—a pojęcie prawa moralnego pociąga konieczność kar i nagród w życiu przyszłem pod okiem Boga nagradzającego i mszczącego się.“ Dodajmy, że tak jedni jak drudzy dowodzą, iż zasługa moralna jest tem większa, im trudniejsze było spełnienie dobrego czynu. Teorya dziwaczna, bo według niej człowiek, kosztem najwyższego wysiłku powstrzymujący się od popełnienia kradzieży gwałtu, zabójstwa—byłby moralnie wyższym od niedoznającego nawet pokusy do złego!

Obierając kierunek przeciwny majaczeniom metafizycznym, etyka transformistyczna wspiera się wyłącznie na faktach z obserwacyi. Więc też ciemności rozpraszają się, zagadnienie pozornie najbardziej abstrakcyjne upraszczają się, geneza pojęć obowiązku wyjaśnia się—słowem stajemy na gruncie naukowym.

„Nauka obyczajów, utrzymywał Holbach (*Morale universelle*), aby była ścisłą, powinna opierać się na szeregu doświadczeń stałych, powtarzanych, niezmiennych.“ Tego samego zdania są i ewolucyoniści. Sprowadzają moralność z obłoków na ziemię i poprzestają na rozpatrywaniu faktów.

Że życie świadome stanowi wyłącznie funkcyę pewnych komórek nerwowych i jest od nich nierozdzielne—to prawda, zaprzeczana dziś chyba przez tych, którzy nie posiadają elementarnych wiadomości fizyologicznych. Więc też we własnościach komórki nerwowej szukać należy źródła pojęć moralnych—jak i wszystkich innych.

Otóż komórka nerwowa jest przedewszystkiem przyrządem notującym: drgania, pobudzania przekazane jej przez właściwe włókna nerwowe, nie przebiegają jej bez pozostawienia po sobie śladu, a raz się wytworzywszy, już tem samem dążą do odtwarzania się i dalej. Tu leży przyczyna odnawiania się wspomnień i mnóstwa skojarzeń ruchów, tak wybornie wcielonych w ośrodki nerwowe, że stają się mniej lub więcej nieświadomemi. Ta to podstawowa własność komórki nerwowej sama jedna czyni możliwem przyswojenie i tresowanie zwierząt. A wykształcenie

---

pewnie nie wierzy, i wówczas szczerze złą była na siebie za fantazyowanie w podróży. Czuła przytem, że jak tylko odwróciła głowę, on patrzył na nią uważnie i uśmiechał się, przygryzając dolną wargę. Był zresztą bardzo grzeczny, tylko raz żartem zaproponował, że trzeba sprzedać domek i ogród, a za otrzymane pieniądze wyjechać za granicę. On będzie przewodnikiem, zwiedzą najpiękniejsze miejsca w Europie a potem... wrócą.

Śmiała się z tego projektu, utrzymując, że domku nie sprzeda za żadne pieniądze. Teraz, wyszedłszy z hotelu, mimowoli podniosła oczy na jego balkon: stał we drzwiach, a gdy spostrzegł jej białą woalkę, zbliżył się szybko, i przechylony przez baryerę, ukłonił się kilkakrotnie. Bardzo grzeczny człowiek!

Na ulicach ludno. W powietrzu czuć jeszcze resztkę dziennego upału, okna zamknięte dotąd, zaczynają się otwierać; z pozą uchylonej roloty tu i owdzie wygląda mężczyzna w koszuli, z papierosem w ustach, albo kobieta w białym kaftaniku; zaczynają się poruszać po całodziennym odrętwieniu. W tej porze dnia nikt nie śpieszy: biura zamknięte, do ogródków jeszcze zawcześnie; przechodnie spoglądają na siebie uważniej: można przejść całą ulicę, nie będąc szturgniętym prawie ani razu.

Lipska szła śpiesznie, nie zwracając uwagi na ulicę, ani na przechodniów. Miasto znała, przepędziła tu dzieciństwo i część młodości; jadąc, sądziła, że dozna silnego wrażenia po dziesięciu latach niebytności. Tymczasem, zamiast rozrzewnienia, czuła się podrażniona; ani jednej przyjaznej twarzy! Miasto rodzinne było dla niej równie obce, jak pierwsze lepsze w całym świecie. Spotykała wprawdzie znajomych... ot i ten jegomość, co idzie naprzeciw niej, wysoki, otyły, z miną dygnitarza... znała go młodszym, trochę szczuplejszym, ale również nadętym. Przechodząc, spojrzał jej w twarz, obejrzał się przez ramię na zgrabną figurę, ziewnął i poszedł dalej. Nie poznał! Postarzała? Ej, nie. Znikła z oczu i z pamięci. Żeby nawet zatrzymawszy go, przypomniała się znajomości, patrzyłby jej w oczy zdumiony, a tymczasem w starych wspomnieniach szukałby znanego sobie nazwiska.

— Ach, to pani, no proszę... hm, hm, bardzo mi przyjemnie, anim się spodziewał itd. powiedzieliby sobie wzajemnie i rozeszli się każde w swoją stronę. Wróciwszy do domu pan powiedziałby żonie:

— Wiesz, spotkałem tę... jak jej tam córkę tego... pamiętasz?... był niegdyś prezesem w towarzystwie asekuracyjnem.

— A więc cóż?

— A nic, nieszpetna jeszcze! wspomnienie i znajomość skończona. Spotkała kilka znajomych kobiet; zmężniały, postarzały, na każdej twarzy dobrobyt i zadowolenie z siebie, strojne chodzą z mężami albo z dziećmi. Szczęśliwe. Odwracała głowę, nie chciała być poznaną, żeby spotkała jaką biedną, samotną, zestarzałą cierpieniem, rzuciłaby się na szyję po dawniejszemu, wówczas może część rdzy osiadłej na sercu zmyłaby się gorącą łzą współczucia!

Domek oddzielony od ulicy żelaznemi sztachetami wyglądał jak w wianku: krzewy podstrzyżone starannie otaczały go ze wszech stron, po nad dachem widniały lipy i klony; misternie powykrajane kląby mieniły się przeróżnem kwieciem, od bramy do eleganckiego ganeczku o czterech kolumnach prowadziła szeroka użwirowana droga; wśród tej opaski z drzew i kwiatów śwież utki domek kokietował jasnemi szybami okien, białemi kolumnami, czerwonym dachem, całą swoją jakby pawilonową lekkością. Zachodzące słońce ozłociło

moralne człowieka jest najzupełniej taką tresurą. Twierdzenie to, zastraszające metafizyków, jest bardzo prostem dla transformistów. Wiedzą oni, że złożono pochodzi z prostego, wzniosłe z poziomego, że rodzaj ludzki powstał z organizmów bardzo pierwotnych, nie zapominają ani na chwilę, że pierwszą formą istnienia człowieka była prosta komórka i jajko, i że potężna inteligencya takiego Newtona jest tylko rozszerzeniem inteligencyi dzikiego, rachującego z trudnością do trzech.

Żadna z czynności umysłowych nie zaciera się zupełnie. Zostawia ona w świadomości jakąś pozostałość psychiczną i dąży do odtworzenia się z większą lub mniejszą łatwością. Nadto—pierwiastek nerwowy, zmieniony przez pierwsze wrażenie, opiera się do pewnego stopnia wrażeniom odmiennym. Dla tego każdy czyn powtarza się tem łatwiej, im więcej razy był spełnianym. W końcu nawet wykonywamy go bez wahania, bez namysłu—staje się instynktem, potrzebą. Jak szeregi ruchów bardzo złożonych—np. ruchy potrzebne do grania na fortepianie lub skrzypcach—powstają w końcu automatycznie, prawie bez najmniejszego wysiłku uwagi, podobnież mnóstwo idej wywołuje się nawzajem i mnóstwo czynów ludzkich.

Jeżeli młody wyżeł, po raz pierwszy wyprowadzony na polowanie, tropi zwierzynę; jeżeli psy owczarskie instynktownie zapędzają stada owiec—to tylko dlatego, że rozkazy licznych pokoleń ich panów, powtarzane przez cały szereg ich przodków, zawsze tym samym sposobem i należycie poparte karami i nagrodami—w końcu wyryły się w mózgu zwierzęcia. Wcieliły się weń, sprowadzając przyzwyczajenie dziedziczne, skojarzenie automatyczne wyładowań nerwowych, wiążących się i wywołujących jedna drugie. Gdy tylko instynkt ten sztuczny zostanie silnie wkorzenionym w komórki nerwowe, rządzi wszechwładnie. Zwierzę z przyjemnością ulega popędom niewyrozumowanym, które go pobudzają, a opór sprawiłby mu przykrość.

Otóż takim samym sposobem doświadczenia, przyzwyczajenia, wychowanie rozwijają w człowieku dążności moralne—również dziedziczne. Metafizycy nazwali to *świadomością moralną, uczuciem moralnem, pojęciem wrodzonem dobra etc.* zmieniając w ten sposób zjawiska fizyologiczne bardzo proste na tajemnicze. W naturach moralnie rozwiniętych instynkty te zdobyte posiadają niezmierną władzę. Bez namysłu, bez rozumowania—nieraz wbrew rozumowaniu—rozstrzygają stanowczo i rządzą postępowaniem w życiu. Jest to głos przodków—a jest on złym lub dobrym wedle tego, czem byli ci przodkowie. Wychowanie indywidualne w małym tylko stopniu może zmienić te uczucia *uorganizowane*—gdyż one są wynikiem długiego, poprzedniego wychowania, ciągnącego się przez liczne pokolenia. Tak więc cnoty lub występki, przymioty moralne lub nie moralne nabywają się przez przyzwyczajenie—lecz przyzwyczajenia potrzebują długiego czasu, zanim wnikną w ośrodki nerwowe i przekażą się dziedzicznie.

Rodowód zatem uczuć moralnych nie jest ani bardziej, ani mniej tajemniczym, niż instynkty psa owczarskiego, lub ptaka wędrownego, rozbijającego się z wściekłością o ściany klatki, gdy nadszedł dzień odlotu. Wszystkie te skłonności, tak silnie zakorzenione w ośrodkach nerwowych, uformowały się najzupełniej jednako. Wypłynęły z powolnej pracy doboru, a o skutkach tego tyrańskiego doboru możemy przekonać się naocznie na zwierzętach. I tak, lwy Afryki południowej, pożerając byki niesforne, oddalające się od stada, zmuszają zwierzęta na pół dzikie do wyrobienia w sobie instynktu społecznego. W hordach plemion pierwotnej ludzkości dzieje się nie inaczej. Prawo Manu z kary tworzy bóstwo, gdyż w istocie bóg ten w społeczeństwach barbarzyńskich odgrywał rolę główną. Zaczęto słuchać gromady lub władzy wyłącznie dlatego, że nieposłuszeństwo sprowadzało wielkie niebezpieczeństwa. W razie przekroczenia należało się obawiać z początku zemsty ludzkiej, a w późniejszych czasach zemsty ludzi i bogów. Powoli przyzwyczajenie uczyniło posłuszeństwo łatwem, a niekiedy nawet przyjemnem. Wytworzyły się skłonności wrodzone, to, co Antygona Eurypidesa nazywa „prawami niepisanemi.“

Rzecz naturalna, że instynkty te często bywały niedorzeczne, okrutne itd., gdyż powstały pośród grubiaństwa, ciemnoty i brutalstwa pierwotnego. Przytoczę kilka przykładów, których liczbę łatwo powiększyć. U australczyków jedzenie niektórych ptaków jest surowo wzbronionem młodym ludziom, więc, opowiada Sturt, gdy młody australczyk, polując zdala od koczowiska, zabije i zje takiego ptaka, doznaje często wyrzutów sumienia—słyszy głos powtarzający mu: „jadłeś mięso zakazane“—i najczęściej wyznaje swą zbrodnię i domaga się kary. Ta moralność australska, zabraniająca jedzenia pewnych ptaków, nakazuje zemstę jako konieczny obowiązek po każdej śmierci, gdyż według australczyków tylko czary nieprzyjaciół sprowadzają śmierć. Dr. Lander opowiada, że gdy powien australczyk stracił żonę wskutek choroby, oświadczył, iż musi zabić kobietę odległego plemienia. Zakazano mu, grożąc więzieniem. Wtedy w sumieniu jego powstała ciężka walka moralna: tracił siły, mizerniał—aż do chwili, gdy, idąc za głosem obowiązku, uciekł, a po pewnym czasie powrócił zdrów i ze spokojnem sumieniem, gdyż wypełnił świętą powinność. Podobnie indusi, zjadłszy pokarmy uważane za nieczyste, byli zaniepokojeni do głębi duszy. Możemyż się dziwić? Alcż we Francyi znałem gorliwych katolików, dla których jedzenie mięsa w wielki piątek jest świętokradztwem; w porównaniu z takim grzechem zbrodnia wydaje się im względnie drobnostką.

(D. c. n.).

LISTY KRAKOWSKIE.

Kraków, 31 maja.

Dzięki upałom życie publiczne wlecze się ospale i ciężko—dalekie od tej gorączkowej ruchliwości i postępów stronniczych, jakie zazwyczaj cechują przebieg wszystkich spraw, ogół krakowski obchodzących. Zarogatkowe uniesienia, przechadzki i koncerty pochłaniają zapał powszechny, mimo że na porządku dziennym doniosła sprawa wyborów do Rady państwa i równie poważne sprawy licznych stowarzyszeń, które w bieżącym miesiącu bądź odbywają walne zgromadzenia, bądź też przekształcają się „z materyi i formy.“ Nie mniejszą wziętością i przepychem wystawy cieszą się nabożeństwa majowe, jakby w myśl Heinego: *Die katholische Religion ist eine Sommerreligion.* Nad wszystkiem jednak panują majówki.

Niedawno Koło artystyczno-literackie urządziło ogromną majówkę z programem oryginalnym, bo wypełniła go... wojna. Pewnego poniedziałku rano część ludku artystycznego w malowniczych strojach kozackich, tureckich i tatarskich, orężno i konno, ruszyła w okolicę Tyńca; w drugą stronę pospieszyli husarze i pospolite ruszenie—wszystko w staroświeckich strojach, ze staroświecką bronią—i pono na równie staroświeckich rumakach, pozbie-

---

go w dodatku, załamując się w szybach otwartych okien; wśród krzewów, w gęstych koronach drzew, zmrok już zapadł, z północy powiało wonną świeżością; najrozkoszniejsza pora dnia nasuwała się zwolna. Wszystkie okna otwarte, gęsto ustawione wazony zasłaniają je od góry do dołu; na ganku, zastawionym od frontu kwitnącymi oleandrami, wysłanym matami, biały ponter rozciągnął się wygodnie; cicho jak w pustce, albo u starego kawalera. Gilewicz lubił ciszę i wygodę, dlatego też mieszkał przy oddalonej uliczce, wśród ogrodu. Przez dziesięć lat przyrósł do tego gniazdka; ozdabiał je nie szczędząc kosztu i trudu. Pokoiki wyklejane każdego roku wyglądały jak bombonierki o złoconych brzegach u sufitu i połyskujących posadzkach; wszędzie półcień rozkoszny, świeżość łąk i ogrodów, dzięki niezliczonej liczbie wazonów i bukietów; wszędzie miękkie niskie mebelki, mnóstwo kosztownych gracików, zastosowanych rozmiarem i kształtem do tych klateczek o koronkowych firankach, jedwabnych draperyach u drzwi i okien. Każda rzecz znakomicie przypasowana do miejsca: zwierciadła do przestrzeni między oknami, kanapki i foteliki do ścian i kątów. Lata całe składały się na uformowanie tak harmonijnej całości. Trzeba było sporo gustu i grosza, żeby wytworzyć to arcydziełko. To też Gilewicz tryumfował: domek jego należał do miejskich osobliwości. Nie mówiąc już o żydziakach, którzy z nosami wsuniętymi przez sztachety, przyglądali się różnobarwnym kląbom, drzewom i dojrzewającym owocom, w całym mieście zachwycano się ślicznym domkiem. Panie umyślnie przychodziły odwiedzać starego kawalera, żeby się przyjrzeć nagromadzonym osobliwościom w tym muzeum i elegancyi. Przyjmował odwiedziny z wdzięcznością. Szpakowaty tłuścioch z siwemi bokobrodami, z wygolonym podbródkiem, elastyczny, wytwornie grzeczny uśmiechał się mile, przełykając pochwały pochlebstwa. Jako plenipotent hrabiego, miał sposobność przyjrzeć się wielu osobistościom, wyrobić gust wykwintny; małpował wybornie pańskie salony, w kierunku tym doskonalił się z każdym rokiem, w końcu stanął u zenitu i — spoczął. Teraz zajmowała go jedynie kombinacya woni: gabinet pachniał wybornem cygarem, salon kwiatami, jadalnia niczem, sypialnia czystą bielizną i skórami, dwa malutkie saloniki wahały się między cygarem i kwiatami. Muchy, wszelkie owady karane były śmiercią; z żyjących, oprócz lokaja, miał tu wstęp wolny ponter, on jeden wsypiał się na dywanach pod stołami, na kozetkach, fotelach, otomankach i na pańskiem łóżku, on też zakłócał czasami porządek zapachów; ale to zdarza się i w hrabiowskich salonach. Gilewicz nigdzie nie był tak szczęśliwym, jak w swem malutkiem królestwie. Gdy po kilkodniowej podróży z powodu interesów wrócił do domu i zmieniwszy ubranie— w pantoflach, bez krawata, bez kamizelki w letnim rozpiętym surducie zasiadł w fotelu, zdawało mu się, że jest w raju; przymykał oczy i marzył — cicho, miękko, pachnąco... przed nim szklanka wybornej herbaty i jeszcze wyborniejsze cygaro. W tym roku obok sypialni urządził wannę; fakt ten drobny na pozór, jeszcze silniejszym węzłem połączył go z ukochanym domkiem. Na szczęście nie myślał o śmierci, w przeciwnym razie urządziłby tu sobie gdzieśkolwiek grobek niewielki, ale cichy, miękki, pachnący, tylko bez cygara i herbaty.

(D. n.).

Ostoja.

ranych z okolicznych folwarków. Wrogie hufce spotkały się na równinie, „jakby wybranej“ dla stoczenia bitwy; odbyły się dwie potyczki pełne zaciekłości i dowodów odwagi, wśród okrzyków wojennych i tumanów kurzawy—i wiara pokonała pogaństwo. Na górze bielańskiej oczekiwał zwycięzców i jeńców tabor niewiast z panną Pospiszil, artystką teatru praskiego na czele, zaopatrzony w obfite zapasy do ugoszczenia strudzonych walką rycerzy. Wśród powszechnej wesołości przystąpili kozacy do obioru koszowego—a wybór jednogłośny padł na czeską artystkę, ze wszech miar godną tego dostojeństwa. W miejsce historycznego kosza śmieci wysypano na głowę nowego wodza wielki kosz kwiatów—poczem bawiono się do późnej nocy pod wodzą miłego naczelnika.

Ta mała owacya dla czeszki dopełniła miary życzliwości i uznania, jakiemi otaczano ją w Krakowie przez cały czas pobytu; nie było to pozbawione poważnego znaczenia *), bo choć w części nagrodziło dawną niegościnność Krakowa dla czeskich gości, którzy przecież w swej ojczyźnie dla polskich przybyszów przesadzają się w hojnem przyjęciu i serdeczności.

We dwa tygodnie później ożywiły się znowu wzgórza Bielańskie gwarem majówki, która corocznie przez dwa dni Zielonych świąt ściąga w tamte strony całą ludność Krakowa. Jest to obchód tradycyonalny, połączony z odpustem kościelnym. Odpust jednak schodzi na ostatni plan, a zabawa nadaje charakter całej pielgrzymce. Jest to rodzaj krakowskich saturnaliów, obchodzonych podobnie uroczyście, jak konik zwierzyniecki. Emaus lub Rękawka. Chcący poznać Kraków, niech mu się przypatrzą na Bielanach, jak bawi się na tle zieleni lasu, wśród huśtawek, namiotów, bud jarmarcznych i karuzelu, bez troski o jutro, bez umiarkowania; niech poznają te typy strojne w zielone kapoty obok połowie bufiasto ustrojonych w atłasy i korale. Tam dopiero występuje prawdziwy Kraków — nie reprezentują go profesorowie wszechnicy, nie kierują nim stańczyki, nie urządzają mu zabaw na cele dobroczynne zbankrutowani hrabiowie, nie rządzą adwokaci, nie nawołują do patryotyzmu policyanci — bawi się prawdziwy sam, po swojemu — ten Kraków, który opisywała Klementyna Tańska w swych listach, którego tradycye opisali Gołębiowski i Grabowski, który żyje i kipi w powieściach Bałuckiego — niezmieniony wiekiem — poczciwy, przesądny, naiwny — urągający postępowi i jego zdobyczom, rubaszny, wesoły...

Druga jeszcze majówka w lipcu dopiero czeka lud krakowski, czeka włościan ze wszystkich stron Galicyi, a będzie nią pielgrzymka do Welehradu, z powodu tysiącletniego jubileuszu śmierci św. Metodego. Z początkiem bieżącego roku zawiązał się tu komitet do urządzenia wielkiej wyprawy polskich pielgrzymów do miejsca skonu słowiańskiego apostoła.

Pisze też wprost komitet w swej broszurze: „Widzimy więc w welehradzkim jubileuszu tylko wspaniały akt wyznawstwa i do tego należeć chcemy ufni, iż utwierdzi on silnie życie katolickie w narodach słowiańskich, a jeśli zwróci myśl naszą ku tym z pomiędzy słowian, którzy po za owczarnią Piotrową zostają, to jedynie na skrzydłach modlitwy o zjednoczenie ich z kościołem“.

Po cichu, po za granicami dewocyi, nosi się podobno jeszcze komitet z jakimiś projektami, ale dyktuje je chyba obluda, bo widocznie obietnicami tylko czegoś, w co sami nie wierzą, przeciw czemu w danym razie samiby na gwałt zadzwonili, chcą skusić do wędrówki ludzi, którym niekoniecznie chodzi o ucałowanie relikwij chociby samego św. Metodego. Pobić słowiańską politykę z komitetowymi powyżej wymienionymi to szczere żarty; w podobnych warunkach jedna wizyta Hausnera w Pradze i obiad przez posłów czeskich dla niego wydany więcej ma doniosłości dla stosunków polsko-czeskich i parlamentarnej jedności, niż wycieczki wieśniaków z Popielem i Tarnowskim. Czesi też doskonale zrozumieli wartość krakowskiej agitacyi, kiedy wprost dali do poznania, że nie chcą przybyć do Welehradu w tym samym dniu, co karawana galicyjskich pątników. Ci tędzy ludzie, co pracą i mozołem pchają się przez austryacką politykę i bez ceremonii upominają się o należytość, nie mają nic wspólnego z krakowską kliką, grzeczną i posłuszną *quand même*.

O wszystkiem tem, prócz reklamy w *Czasie*, dzienniki nasze nic a nic nie piszą. Mimo że nie brak organów postępowych, żaden z nich nie wypowiedział poważnego słowa w sprawie tej krucyaty ultrakatolickiej. Wobec dogmatu polityczcznego o zachowawczem znaczeniu apostolskiej stolicy dla austryackiej Słowiańszczyzny — każdy ma knebel na ustach, każdy boi się dmuchać w mrowisko, by jak mrówki nie oblazły go na całe życie zarzuty zdrady ojczyzny i przecherstwa matkobójczego — boi się piętna Judaszowego. A przecież godzi się sprawę jasno postawić: albo zjazd ma się na co istotnie przydać, a wtedy wszyscy obowiązani są przyłożyć czynnie rękę do jego uświetnienia, do nadania mu ogromnej wagi, albo też jest konserwatywno-ultramontańskim, kosmopolitycznym w gruncie manewrem, a wtedy odważnie go naecechować, by uniknąć później zarzutu, że milcząco dozwoliło się klerykałom oddziałać na lud, pozyskać jego wiarę, jego ufność i osiągnąć prawo do tradycyonalnego przewodnictwa w sprawach ogólnego znaczenia...

Wybory do Rady państwa na porządku dziennym. Trudno w ramach krótkiego listu ująć znaczenie tej ważnej chwili, rozebrać poprzednie lata działalności zbiorowej naszych posłów w wiedeńskim parlamencie, dzielę się więc tylko wiadomością, że komitet przedwyborczy krakowski wybrany został według listy zredagowanej przez tę garstkę oligarchów miejskich, która od niedawna zawsze i we wszystkiem u nas rządzi, która Mickiewiczowi dała na pomnik projekt Matejki, która trzęsie radą miejską, piastuje losy Krakowa wyłącznie i niepodzielnie. Zgromadzenie przedwyborcze z mowami kandydackiemi odbędzie się jutro t. j. 1 czerwca.

Posłami z Krakowa będą prawdopodobnie Zatorski i Chrzanowski — siły nie nowe i znane. Chrzanowski, wybierany dawniej przez właścicieli większych posiadłości, przejdzie w mieście, bo głosy tych właścicieli, jako niezawodne i pewne, zachowano dla... profesóra Michała Bobrzyńskiego. Z krakowskich gwiazd może to najlepiej znana w Warszawie—gwiazda ta szybko wzrosła, jaskrawo zaświeciła i żwawo rusza się po horyzoncie. Jedni nienawidzą go i zowią zaprzańcem, inni liczą na niego bardzo, ale go nie kochają—nie kochają w Krakowie, gdzie ludzie przy lada śniadanku lub chrzcinach ściskają się i ślinią bez miary, płacząc z gorącości wzajemnego afektu. Jestto to znak bardzo charakterystyczny.

Na zakończenie słów parę o sztuce, dla której Kraków jest jakoby cieplarnią. Na później odkładam sobie opis rozwijającego się wspaniale z darów i nabytków Narodowego Muzeum, oraz zwiedzenie salonu artystycznego p. Biasona; dziś dotknę kwestyi dość drażliwej — nie mniej jednak zasługującej na baczną uwagę, choćby dla tego, że mówić o niej w Krakowie — nie wypada. Towarzystwo sztuk pięknych — instytucya ważna, od lat kilkudziesięciu postępująca wśród zajęcia i przychylności ogółu—uległa w składzie swego zarządu od pewnego czasu znacznym nowościom. Mimo jednak zmiany dyrekcyi i powołania świeżych, a przez wszystkich pożądanych członków, t. j. panów: Estreichera, Jordana, Pawlikowskiego i M. Sokołowskiego, którzy nowe życie wzniecić mieli w ruchu Towarzystwa, pozmieniać statut, ograniczyć przyjmowanie obrazów, postarać się o lepsze premie, niż dotychczasowe oleodruki—wszystko zostało po dawnemu. Wystawa przyjmuje i pokazuje stęsknionej za pięknem publiczności niedokończone robótki panienek, utwory amatorów, poślednie miernoty, a przeważnie malowidła uczniów szkoły krakowskiej. Nie było nigdy szerzej otwartych podwojów Towarzystwa dla lichoty, jak dzisiaj, a co więcej—takiej pobłażliwości w komisyi rozpoznawczej. Dziś wystawa ma charakter handlarski. Czyżby to były skutki odnowienia sił zarządu? Czas przecież wielki, by w Towarzystwie na wzór Warszawskiego, rozbudził się podnioślejszy pogląd na jego zadania. Jakaś małość, niskie widnokręgi, materyalne względy artystów—kierują obecnym zarządem i daremne wszelkie oczekiwania dowodów żywotności istotnej. Gieniuszki i talenciki wbijają się w dumę, zawcześnie podnoszą głowę i lekceważą poważne studya. Ogląda się ich obrazeczki, bardzo wprawdzie wygodne do kupna, typy, studya, pomysły nieźle malowane, z mizernym rysunkiem bez perspektywy, uderzające anachronizmami. Wstrętny dobór orzeka o realizmie, którego brak w technice, w pojęciu rzeczy. Krytyka zaś wszystkiemu pobłaża.

Publiczność, jak wszędzie tak i u nas, dzięki fotografiom, drzeworytom pism ilustrowanych, kopiom, oleodrukom i innym surogatom pędzla i kredki, wytworzyła sobie pewną skalę wymagań, zna dzieła francuzów i niemców, nie obce jej żadne głośniejsze płótno: darzona u nas półbkami i zabawkami trywialnemi, pozbawionemi istotnej piękności, poznaje się na tem doskonale i niedługo chyba zacznie się krzywić i głośno gniewać. Mimo przepełnienia Krakowa artystami, złym to jest znakiem dla przyszłości sztuki, bo prawdziwy artyzm powinien podnosić umysły, ciągnąć je za sobą w dziedzinę uroków, uszlachetniać. Tego wszystkiego brak—o świeżości i poetyczności mówić, to przypominać bajkę o żelaznym wilku. Nie myślę po nazwisku wytykać malarzy, którzy zresztą nie sami winni temu stanowi rzeczy; nie wymieniam też białych kruków—a jest ich paru na szczęście. Malarze szukają przedmiotów płaskich, bojąc się pracy, trudu i... ryzyka sprzedaży, a przecież Matejko i Siemiradzki dzielnym winni być dla nich wzorem pracowitości i hartu.

Jedyna pożądana czynność Towarzystwa Sztuk pięknych objawia się w urządzaniu wystawy Grottgerowskiej na korzyść siostry wielkiego artysty. Prócz *Polonii*, *Litwy* i *Wojny*, będzie cały szereg akwarel, rysunków i olejnych obrazów—nadesłanych uprzejmie przez szczęśliwych posiadaczy tych skarbów. Wystawa odbędzie się w sali Sukiennic zwanej Langerówką, użyczonej przez Narodowe Muzeum. Otwarcie ma nastąpić z dniem 3 czerwca 1885 roku. *M.*

*) *Kur. warsz.* donosi, że panna Pospiszyl wstąpiła do trupy niemieckiej, co rzeczywiście byłoby niemiłem rozczarowaniem dla wyborców koszowych.

WYDAWNICTWA LUDOWE.

Tomek Piast. *Czytelnia ludowa. Co ludzie wiejscy czytać powinni i czego się z książek nauczyć można czyli poradnik książkowy. Książeczki dziesięciogroszowe.* Walerya Marenné: *Smutna swadźba*, Eliza Orzeszkowa: *Kramarz*, Warszawa.

Poradnik książkowy Tomka Piasta obejmuje cały prawie plon literatury ludowej,

plon starannie oczyszczony z plew wszelkiego rodzaju. Nie jest to jednak ziarno wybrane, znajdzie się i tutaj sporo pośladu, o czem zresztą autor wie dokładnie, ale sądzi (i słusznie), że kiedy idzie o zaspokojenie głodu, nie można się wdawać w drobiazgową analizę dobroci pokarmu. Oprócz bezpośredniego swego celu—wskazania wieśniakowi, jakie książki czytać warto, *Poradnik* objaśnia zarazem inteligentnego czytelnika o tem, co dla oświaty ludu dotąd zrobiliśmy, a zrobiliśmy, niestety, bardzo mało.

Sześćdziesiąt książeczek a w tej liczbie co najwięcej 15 do 20 dobrych, reszta zaś takich o których tyle tylko powiedzieć można, że szkodliwemi nie są—oto cały dorobek szumnie głoszonej pracy u podstaw, pracy dla ludu.

Autor wywiązał się z zadania swego bardzo sumiennie i umiejętnie. Przejrzał on nietylko nowsze wydawnictwa, ale i dawniejsze, dotychczas jeszcze w handlu księgarskim nie wyczerpane i o każdej książce sąd swój wypowiedział jasno, przystępnie, zupełnie objektywnie.

Wszystkie książki rozłożył na 7 działów: liczebnie góruje beletrystyka, bo zawiera aż 19 numerów, dalej idą książeczki rolnicze—13, historyczne—9, przyrodnicze—6, dla początkujących 5 i wreszcie społeczne i lekarskie po 4. Wyłącznie prawie uwzględnione są tylko rzeczy drukowane w Królestwie, zdaje się jednak, że z wydawanych w Galicyi a zwłaszcza w Poznańskiem niektóre dały by się i u nas użyć. Ale nie robimy z tego zarzutu autorowi, bo u nas książeczki te są nieznane i nawet księgarnie sprowadzają ich bardzo mało.

Z wydanych w ostatnich latach uczynił p. Piast wybór bardzo staranny; żadna książeczka posiadająca jakąkolwiek wartość nie została opuszczoną, ale z dawniejszych należało pomieścić utwory Anczyca, z których wiele można jeszcze nabyć. Wiem z doświadczenia, że są one przez lud czytane bardzo chętnie.

Autor uważa się za niekompetentnego do oceny książek religijnych, pomija więc je i dobrze robi, bo, jak wiadomo, najdelikatniejsza nawet krytyka ściągnąć by nań mogła klątwę. Szkoda jednak, że nie rozejrzał się w wydawnictwach t. z. spekulacyjnych. Książki wydawane bardzo tanio, ze stratą nieraz, zalecane i rozpowszechniane gorliwie rozchodzą się z trudnością, a tymczasem p. Breslauer lub inny spekulant—wydawca bije dziesiątki wydań Żywota św. Genowefy albo Historyi o Magiellonie, i każdy z jego nakładów rozchodzi się nader szybko, chociaż względnie drogo kosztuje. Fakt ten musi mieć przyczynę, którą trzeba by wyswietlić. Według mego zdania powodzenie podobnych utworów łatwo daje się wytłomaczyć: Genowefa, Magiellona, Róża na Tannenbergu itd. wszystko to rzeczy napisane z wielkiem talentem. Niektóre z nich nie zawierają w sobie nic szkodliwego a wszystkie służyć mogą pod pewnym względem za wzór—jak dla ludu pisać należy.

Talent pisarski gra w piśmiennictwie ludowem mniejszą niż w literaturze przeznaczonej dla inteligencyi, ale w każdym razie bardzo ważną rolę, to też na szczęśliwy pomysł wpadł wydawca książeczek dziesięciogroszowych, przedrukowając prace wybitniejszych naszych autorów. Na początek wybrano *Smutną swadźbę* Marrené i *Kramarza* Orzeszkowej. Obie powiastki, jakkolwiek przeznaczone pierwiastkowo dla inteligencyi, napisane są przystępnie dla czytelników z ludu i bezwątpienia więcej przyniosą pożytku, aniżeli dziesiątki niby to pouczających a w samej rzeczy nudnych tylko utworów. Nie znaczy to jednak, żeby nie można było zrobić lepszego wyboru. Refleksyjny przeważnie talent Orzeszkowej nie może jej zapewnić szerokiego wpływu. Z współczesnych autorów Prus jeden posiada wszystkie warunki potrzebne dla pisarza, którego dzieła czytać by mogły wszystkie klasy narodu. Talent jego posługujący się efektami silnymi, wpadający z jednej strony w melodramat a z drugiej w karykaturę, ale pomimo to potężny i realny przedstawia największej danych, obiecujących dziełom jego wpływ doniosły i rozpowszechnienie szerokie. Z dotychczasowych prac jego niektóre tylko i to z pewnemi zmianami zasługiwały by na popularny przedruk, gdyby wszakże zechciał, on jeden napisać mógłby książkę, którą czytałyby setki tysięcy ludzi, która znalazłaby się w każdej chacie polskiej.

Książeczki dziesięciogroszowe, jeżeli sądzić można z tego co wydano, przeznaczone są nietylko może dla włościan, ile dla ubogiej ludności miejskiej, niższych oficyalistów itd. Pewna specyalizacya w literaturze ludowej byłaby bardzo pożądaną i jeżeli domysł mój jest słusznym, to dla wyżej wymienionych czytelników obie powiastki są bardzo odpowiednie. Należałoby wydawcom zwrócić baczniejszą uwagę na te warstwy ludności, wśród których i umiejętność i potrzeba czytania są dosyć już rozpowszechnione. Jeżeli w dalszym ciągu zamierzają przedrukowywać utwory znakomitych autorów, to pożądanym bardzo byłby wybór poezyj Mickiewicza, opatrzonych krótkimi komentarzami. Można by również dawać wybitniejsze dzieła naszej literatury beletrystycznej w popularnem obrobieniu; widziałem w tym rodzaju wydawnictwa francuskie, które podobno w swoim czasie miały wielkie powodzenie.

Wiat.

TOWARZYSTWO MEININGEŃSKIE.

Przypadkiem zdarzyło mi się widzieć, jak na podwórzu teatralnem składano bagaże tej wędrownej, artystycznej kompanii, która udoskonaliła pewne strony sztuki scenicznej. Zbliska nieszczególnie wyglądały, co prawda, te wszystkie przybory, służące do scenicznego złudzenia, ale mrówcze krzątanie się maszynistów i rekwizytorów robiło wrażenie ruchów odbywanych według systemu, szybko i dokładnie. Dźwigano wielkie plastyczne filary, które potem zdobiły salę Kapitolu. Każdy z nich był pomieszczony w osobnej, wielkiej pace; oprócz tego mnóstwo pak innych, większych i mniejszych, desek, schodków, ławek i innych rupieci teatralnych legło wkrótce na podwórzu. Jak mi mówili ludzie teatralni, cała sala redutowa zastawioną była pakami z garderobą, sprzętami, naczyniami i rekwizytami. Dwadzieścia kilka wagonów przywiozło cały ten ruchomy inwentarz we wzorowym porządku.

Ciekawy to zaprawdę widok towarzystwa, które może z takim olbrzymim taborem odbywać podróże po Europie.

Było to pierwsze w swoim rodzaju zjawisko wędrownego teatru, który zjawił się jako ciało zbiorowe, a nie jako otoczenie pewnej gwiazdy, niewiele dbającej, na jakiem tle ma zabłysnąć.

Rzuciła mi się wtedy w oczy główna siła meiningeńskiego teatru, będąca dźwignią jego powodzenia i zaszczytnej roli, jaką odegrał w dziejach sztuki niemieckiej.

Tą siłą jest *organizacya*, która skupia osobniki w jednym świadomie postawionym celu, a która jest przedewszystkiem *artystyczną* a dopiero potem administracyjną. Cały zresztą ustrój teatru jest żywym dowodem, jak pomyślność i świetny rozwój instytucyi zależy wyłącznie od czynników *kierowniczych* i jak płodną jest inicyatywa idąca z góry, jakie owoce może osiągnąć rozumna i energiczna praca przewodnika fachowego i posiadającego odpowiednie atrybucye. A jednak czytaliśmy tyle skarg, zwalających upadek naszych instytucyj teatralnych na barki pracowników, którzy są tylko pojedynczemi kółkami machiny i muszą iść za rozpędowym ruchem całości — tyle fałszywych oskarżeń. które dotykały skutków zamiast przyczyn, czepiały się szczegółów zamiast sięgnąć do gruntu.

Teatr meiningeński świadczy, że nawet ze średnim zasobem sił artystycznych może znakomite rezultaty osiągnąć kierownictwo umiejętne, dobrze zorganizowane a co największej—spojone żywym duchowym węzłem z całością instytucyi, ożywiającą a nie oddzielające się od sztuki przepaścią rutyny i formalizmu.

P. Chronegk przewodnik tej artystycznej gromadki, prawdziwie znakomity reżyser, o ile wiemy, dzierży władzę w energicznej dłoni, przestrzega karności, musztruje komparsów i drugorzędnych pracowników towarzystwa — co jednak nie przeszkadza mu potem zasiąść przyjednym stole z drużyną aktorską i trącać się kuflem wiedeńskiego piwa.

W teatrze meiningeńskim panuje taki ład i harmonia, ponieważ posiada on to, czego Wallenstein w tragedyi Schillera zazdrości Gustawowi Adolfowi, który był królom i zarazem wodzem swej armii i nie potrzebował zależeć od kaprysów pałacowych towarzystw. Książę meiningeński, o którym bez teatru mało kto by wiedział na świecie, jest podobno taką duszą stworzonej przez siebie organizacyi. A jednak, pojmując potrzeby ustroju teatralnego, nadał kierownikowi artystycznemu szeroskie atrybucye i powierzył te obowiązki człowiekowi, który łączy fachową specyalność z szerokim artystycznym poglądem na zadanie sceny odtwarzającej arcydzieła poezyi. Doprowadzić całość przedstawienia do możliwej harmonii, zestroić rozstrzelone usiłowania do jednego tonu, rozwinąć współrzędnie z grą solową ruch i życie w drugoplanowych grupach, w statystach i masach chóralnych, utrzymać wiernie charakter epoki w dekoracyach, kostiumach, meblach i sprzętach, podnieść zewnętrzną malowniczość przedstawienia w sposób artystyczny — oto jest świadomie wytknięte zadanie teatru meiningeńskiego, które na wielu punktach świetnie zostało rozwiązane. Kierunek ten leży najzupełniej w duchu dzisiejszej epoki, dążącej do złudzenia, do prawdy, polegającej na zgodności utworów sztuki z wrażeniami rzeczywistości, wreszcie do jedności nastroju, o którą tak chodzi malarzom i twórcom realnej beletrystyki.

Takie pojęcie w dziejach sceny dzisiejszej jest przeciwległym punktem rozwoju w porównaniu z jej urodzinami. Za Shakespeare'a bujna wyobraźnia widzów śledziła głównie grę aktorską, mało dbając o to, że rozkoszny pałac reprezentują deski, że kilku kijami tłukących się drabów ma przypominać rycerskie czyny zwycięzców z pod Azincourt. Obecnie powstaje strojny organizm teatralny, w którym indywidualizm aktorski schodzi na drugi plan, a głównym celem jest osiągnięcie największego efektu za pomocą ogólnej harmonii oraz prawdy i piękności akcesoryów. Nic dziwnego, że pracując w tym kierunku, trupa zdobyła się przedewszystkiem na świetne wykonanie *Juliusza Cezara*, *Wilhelma Tella*, w których ogromne wrażenie sprawiły efekty zbiorowe. Dramat Szekspirowski, jako całość, był może najświetniejszą produkcyą towarzystwa, ale *Wilhelm Tell* wywarł na mnie wrażenie tak potężne, jakiego nie odebrałem dotąd z desek teatralnych.

Równie pięknem było wykonanie *Walensteina*, wskrzesające z wielką prawdą życie obozowe podczas wojny trzydziestoletniej, oraz cały szereg postaci wojskowych na łudząco wiernem tle archeologicznego otoczenia. Niektóre inne jednak przedstawienia wykazały jednostronność metody meiningeńczyków, którzy zdradzili bezsilność tam, gdzie koniecznym warunkiem dobrego wykonania jest wybitny talent aktorski. Wogóle w ich teatrze system zbyt przygłusza żywą indywidualną siłę artyzmu, nawet w jej uprawnionym zakresie. Widzieliśmy tu cały zastęp aktorów drobnych, znakomicie wyćwiczonych statystów, układanych w pyszne, ślicznie oświetlane grupy; ale to wszystko nie wystarczyło na odtworzenie takich dzieł, jak *Marya Stuart* lub *Zbójcy*. Niech sobie mówią co chcą zagorzali i zapyrzeni chwalcy, ale są pewne wyżyny sztuki, na które może tylko wprowadzić widza zapał i potęga talentu aktora; a bez niej nic nie poradzi archeologia, dekoracye, kostiumy i reżyserya nawet tak znakomicie prowadzona, jak marsz armii niemieckiej na Francyę. Wspaniała scena śmierci królowej szkockiej nie wywarła na mnie żadnego wrażenia, gdy tymczasem mrowie mnie przeszło na widok padającego „lenvogta“ w *Tellu*. A jednak u Schillera, pomimo odrobiny patosu, scena zgonu Maryi Stuart, szczytna, pełna wysokiej rezygnacyi, przejmująca i uroczysta. W przedstawieniu meiningeńczyków największe wrażenie podczas niej robiły... schody w głębi zamku Fotheringhay doskonale odtworzone. Królowa szkocka stała się zwykłą, sentymentalną niemeczką, której niewiadomo za co kazano umierać. Franciszek w *Zbójcach* nie miał ani połowy koniecznej grozy, dlatego, że chwilami wpadał w pospolitą jowialność; Karol był zwykłym recytującym frazesy deklamatorem. Ale za to jakże świetnie odtworzoną była ceremonia dworska w salach Westminsteru, jak doskonale grupowali się w czeskich lasach rozbójnicy, jak ślicznie wyglądała banda w świetle księżycowem przy rozwalinach starego zameczyska...

Ale przyjrzyjmy się pokrótce siłom aktorskim trupy, aby ocenić, jakie ma żywioły na odtworzenie *wewnętrznej* treści utworów. Knorr — artysta o wspaniałej postawie, tubalnym głosie, przedstawiający energicznie i poprawnie Wallensteina, chociaż gra jego najzupełniej dobra, nie robiła wrażenia samodzielności — doskonały w *Wilhelmie Tellu*, gdzie odtwarzał naturę prostą i podnoszącą się do bohaterstwa. Weiser— aktor może najinteligentniejszy, grający umiejętnie Brutusa, z głębokiem skupieniem, jako człowieka przetrawionego wewnętrzną robotą idei—bardzo dobry w rolach zawadyaka, żołdaka Illo (*Wallenstein*), sędziwego Paulet'a (*Marya Stuart*), poważnego Stauffachera—giętko przerzucający się w różne charaktery i postacie, ale bezsilny wobec trudności roli Franciszka w *Zbójcach*. Arndt, może najzdolniejszy, najbardziej pomysłowy i realny w rolach charakterystycznych, przerzucający się doskonale z pysznej figury Isolaniego (*Wallenstein*), generała kroackiego, w łachmany rzezimieszka (*Powieść zimowa*), grający z pyszną brawurą rolę Spiegelberga w *Zbójcach*, komiczny jak Malvolio w *Wieczorze trzech króli* — klasyczny i poprawny jako Horacy w *Lidyi*. Teller także bardzo dobry aktor charakterystyczny, typowy i żywy jako Kasyusz w *Cezarze*, prawdziwy, surowy i prostacki jako Buthler w *Wallensteinie*, zimny i wstrętny jako Gessler w *Wilhelmie Tellu*, doskonały wreszcie w *Lidii*, w małej rolce rzymskiego niewolnika, odegranej z wielką subtelnością. Oprócz tych czterech, godnych nazwy artystów, zasługuje na wzmiankę Richard użyteczny w rolach starców, Willi Feliks bohater jeszcze nie urobiony, patetyczny i krzykliwy, ale dobry w pewnych chwilach roli Antoniusza, Barthel młody o pięknych warunkach aktor, także patetyczny, chociaż chwilami drgający szczerym zapałem — wreszcie kilku innych niezłych charakterystycznych i komicznych aktorów. Z kobiet trzyma prym bardzo dobra charakterystyczna aktorka pani Habelmann, grająca bez patosu szczerze, energicznie, doskonała w roli hr. Terckiej, ambitnej doradczyni dumnego wodza w *Wallensteinie*, w rolach suberetek po niemiecku żwawa, naturalna i wesoła. Chwalono ją chórem w Elżbiecie — dla mnie jednak stworzyła tu postać energiczną, ale zgruba ciosaną, bez królewskiego majestatu, bez subtelności w wykończeniu nie była podobną do tej suchej, energicznej, rozumnej i okrutnej kobiety, która w wyschłych palcach dzierżyła krzepko berło Tudorów. Pani Lorenz postacią i głosem uosabiała doskonale typ sentymentalny niemiecki — gra z uczuciem szczerem, równo, bez wysokiej oryginalności, bardzo dobra jako Bertha w *Wallensteinie*, roztopiona we łzach i marzeniu kochanka, sympatyczna jako Porcya żona Brutusa, blada jako Hermiona w *Baśni zimowej*, jako Marya Stuart niewznosząca się po nad zwykłą poprawność.

Parę innych kobiet nie wykracza po za sferę użyteczności. Oczywiście, że z takiemi siłami meiningeńczycy mogą bardzo dobrze grać utwory oparte na kilku współrzędnych rolach, ale nie są w stanie podołać wielkim arcydziełom, wymagającym znakomitych artystów. Grono mężczyzn zdolne jest jednak stworzyć szereg odrębnych i wyrazistych postaci w *Cezarze* i *Wallensteinie* — siły kobiece są słabsze i rzadziej stają na wysokości zadania, chociaż trafiają się epizodyczne role dobrze zagrane — jak np. mała, ale trudna scena kobiety błagającej w *Wilhelmie Tellu* okrutnego Geslera o litość dla męża. Gra wszystkich nosi na sobie wybitne piętno tej szkoły niemieckiej, która chociaż przechyla się w spokojnych miejscach ku realizmowi, jednak w momentach dramatycznych staje się patetyczną i skomlącą w sposób często dość przykry dla polskiego ucha.

Do średnich pod względem gry aktorskiej produkcyj należała *Baśń zimowa*, prześlicznie jednak uscenizowana pod względem zewnętrznym, a najsłabszem było wykonanie nieznośnie nudnej tragedyi Grilparzer'a *Ahnfrau*, kończącej się sceną wśród tuzina trumien, wychodzeniem zgrobu ducha prababki, w której złowrogim uścisku kona bohater. Z dziedziny komedyi powiodło się żwawo, wesołe lubo doprawiono niemieckimi konceptami wykonanie komedyi Moliere'a *Chory z przywidzenia*, w którem nietyle zasługuje na uznanie robota pojedynczych artystów, ile zestrojenie się ich w ogólną harmonię.

Komedyę Shakespeare'a *Wieczór trzech króli* wystawiono pod względem zewnętrznym dość niedbale, gorzej niż na naszej scenie, role kobiece grane były w niej miernie lub słabo, ale sceny komiczne traktowano we właściwym stylu starej bufonady, bez której stają się ciężkie i nudne. Dla naszych widzów, zaprawionych na subtelniejszym komizmie francuskim, nadto trąciły rubasznością, ale pamiętać trzeba że Shakespeare przeniósł takie sceny żywcem z teatru ludowego, jarmarcznego na deski młodociane widowni artystycznej, że natura tego komizmu jest i musiała być gruba, stosowana do charakteru epoki, nieznającej wydelikatnionych obyczajów.

Oczywiście, że z takimi zasobami sił aktorskich, jakie posiada teatr meiningenski, nie może on wykazać swych przymiotów w wielkich arcydziełach tragicznych, że nie daje nam Hamleta, Leara, Makbeta, Otella, Romea, Koryolana, Ryszarda III, a z Szyllerowskiego repertuaru omija *Fiesca* oraz *Intrygę i miłość*. Ciekawe natomiast muszą być jego produkcye w zakresie dramatu romantycznego i ludowego, w których może rozwinąć świetne obrazowanie. Dla tego żałowałem, że u nas nie przedstawiano takich utworów jak Kleista: *Kätchen von Heilbronn*, i *Hermannschlacht*— albo wspaniałych *Niebelungów*. Oddając co się należy tej stronie działalności meiningeńczyków, która istotnie olśniła naszą publiczność—przyznać trzeba jednak, że strona zewnętrzna rozrywała często efekt utworu, odciągała uwagę widza od uczuć do obrazów, od poezyi do malowniczości bawiącej oko. Pod względem zewnętrznym jednak chodziło tu więcej o estetyczność niż o efekt, o układ prosty, ale artystyczny, niż o dziwowiska maszyneryi, któremi się wcale nie posługiwano. Wystawność teatru meiningeńskiego, dążąca do prawdy, charakteru i artyzmu, różni się stanowczo od popisów maszyneryi czarodziejskiej na niektórych scenach francuskich, gdzie sztuka schodzi zupełnie na bok, a scena zamienia się na wielką czarodziejską szopkę dla starych dzieci.

A teraz jedno pytanie. Jaki jest lepszy teatr: czy ten który stoi na ogólnej organizacyi, który dąży do harmonijnej całości dzieł przedstawianych, czy ten, który opiera się na kilku wybitnych siłach zdolnych do gry świetnej—ale zaniedbany pod względem ogólnego kierownictwa? Niewątpliwie pierwszy, bo posiada żywotność sam przez się, bo daje dzieła sztuki a nie popisy pojedynczych wirtuozów. Pod tym względem scena meiningeńska pozostawia dużo do myślenia i dużo przykładów do reformy rozwoju naszych teatrów. Jak mają z niej skorzystać—o tem nic nie powiem, bo niechcę płodzić bezużytecznych rozpraw, projektów i rad, które wobec rzeczywistości i ustalonej rutyny będą tylko *vox*, *vox*, *praeterea nihil*.

S. K.

LIBERUM VETO.

Warszawa w wyobrażeniu gości zagranicznych. — Dwie strony medalu. — Nasza zdolność płatnicza. — Zachęta do zbytku. — Smutne wesele. — Brak jednej wiązki nerwów. — Wyprzęganie koni aktorkom. — Przemienienie kobiety. — Jak należy pisać? — Moje warunki literackiego egzaminu.

Obcy ekonomiści, korespondenci, dziennikarze a nawet my sami zawyrokowaliśmy już dawno, że nasze społeczeństwo oblazły rozmaite biedy i dokuczają mu rozmaite głody. Powodowani też ciekawością zagraniczni muzycy, śpiewacy, magicy, kuglarze zatrzymują się w Warszawie. Przebywszy wszakże śród nas kilka godzin i przeszedłszy po ulicach, spostrzegają, że są między nami zapewne nieliczne wyjątki, które spacerują całemi godzinami w zbytkownych strojach i powozach, że znajdują się widocznie ludzie, którzy utrzymują jubilerów, magazynierów, krawców, dla których stracić kilka lub kilkanaście rubli dziennie tyle znaczy, co wyrzucić papierek po zjedzonym karmelku. Wtedy szanowni „goście“ ogłaszają, że „w przejeździe“ przez Warszawę dadzą jedno lub kilka przedstawień, mając nadzieję, że koszta swego trudu z małym niedoborem pokryją. I oto nagle stają zdumieni wobec rezultatu swej próby: przy kasie, sprzedającej miejsca na ich popis, tłum łamie sobie żebra i zdobywa ją szturmem; posłańcy publiczni wystawiają bilety na licytacyę, na której otrzymują poczwórne ceny; w całem mieście wrzawa i ruch; imiona przyjezdnych bohaterów na wszystkich ustach. Czy owym bohaterem jest Rubinstein czy Salamon-

sky, każdy, opuszczając Warszawę z pełną kieszenią, powiada sobie: tu wcale nie ma biedy, lecz nadzwyczajny dostatek.

Rzeczywiście, gdyby nasz stan ekonomiczny odmalowali: Rubinstein, Tua, Chronegk, Mazini, Ciniselli, a nawet Modrzejewska lub Mierzwiński, wypadłoby, że Królestwo polskie jest najbogatszym krajem w Europie, a Warszawa miastem Makajów i Rotschildów. Meiningeńczycy przybyli do nas w najgorszym czasie i po kilku tygodniach wynieśli kilkadziesiąt tysięcy rubli. Ile Warszawa wydaje dziennie na zabawy—trudno byłoby obliczyć. Są w niej ludzie, którzy tracą parę rubli dziennie na—tramwaje (to także rozrywka!) Nic też dziwnego, że ciągle słyszymy bardzo zasadne na pozór uwagi: narzekacie tylko z nałogu; nie możecie być biedni, skoro za drogie pieniądze tłoczycie się do sal koncertowych i teatralnych, do cyrków i na wystawy, nie odmawiając sobie żadnego zbytku. Nie byłoby też dziwnem, gdyby ktoś, upatrzywszy w tym dodatku wielką zdolność płatniczą, radził pomnożyć lub wzmocnić pompy podatkowe, gdyby ktoś inny wywnioskował, że rozwój nasz odbywa się w warunkach idealnych. Nie wiem, jak wyglądaliśmy za czasów Napoleona I; ale to pewna, że gdyby on widział obecną naszą rozrzutność, rzekłby do swego kwatermistrza: ci panowie mogą zapłacić dobrą kontrybucyę—stać ich na to! I rzeczywiście, miasto, które przez dwadzieścia dni potrzebuje za 50,000 rs. biletów na teatr niemiecki i rozkupiłoby dwa razy tyle, nie zrzekłszy się bynajmniej wydatków na wyścigi, podróże zagraniczne itd.—musi posiadać środki bardzo obfite. A jednakże to miasto, jak kraj cały, jest rzetelnie biednem, tylko rozrzutne, nieopatrzne, niewstrzemięźliwe, niezdolne odmówić sobie żadnego zbytku, do którego pociąga moda, zwyczaj, przykład lub... prasa. Część tej prasy jest w znacznej części odpowiedzialną za marnotrawstwo ogółu: zaświeci mu ona bowiem przed oczami każdą ponętą, popchnie do wszelkiej rozrzutności, roztrąbi bez skrupułu każdą sposobność do trwonienia pieniędzy. Pisma, czytane przeważnie w klasach niższych i średnich, opowiadają swym czytelnikom szeroko o balach, kosztownych toaletach, brylantach, rasowych koniach, cudach koncertowych i teatralnych, a odurzona temi uniesieniami publiczność wytrząsa kieszeń własną lub czerpie z lichwiarskiej i biegnie używać zachwalonych rozkoszy. Ludzie, którzy może nazajutrz nie mieli za co zjeść obiadu i toną w długach, płacili po 5 rs. za krzesło na przedstawienia trupy niemieckiej. Ci sami ludzie wynajmą powozy na wyścigi i sprawią sobie nowe ubrania. Tym sposobem Warszawa, która rozrzuca pieniądze, stroi się i bawi, wygląda po wierzchu świetnie, bogato. Ale potrzeba uchylić wacale nie grubą zasłonę, ażeby zobaczyć, ile ubóstwa, nędzy i niedostatku kryje się za tym blichtrem. Dorobkiewicz żyje zwykle skromniej, niż bankrut. Znane są historyi i psychologii tańce na cmentarzach, śmiech w rozpaczy, wesele w smutku i marnotrawstwo przed upadłością. Kto wie zatem, czy my nie wyprawiamy takich tańców, nie używamy takiego wesela i nie ogłuszamy się takiem marnotrawstwem. Bo cokolwiek byśmy przytoczyli na usprawiedliwienie życia nad stan—doskonałość reżyseryi meiningeńskiej, wzruszenia wyścigowe, zręczność skoczków cyrkowych lub znakomitą grę Sary Bernhard—pozostanie faktem, że społeczeństwo materyalnie niezasobne, ekonomicznie nierozwinięte, zrujnowane zastojem w wielu gałęziach produkcyi—w budżecie swoich wydatków pozycyi zbytku do tej skali podnosić nie powinno.

A zresztą, może ja się mylę, może większość ludzi posiada jakąś wiązkę nerwów, której mi brak a które służą do wzruszeń teatralnych? Przed kilku dniami czytałem w gazetach, że Modrzejewska zachwyciła dublińczyków, którzy również mieli wyprządz konie z jej powozu i zaciągnąć go do mieszkania artystki. Wiem, jak się takie wyprzęgania koni urządzają, bo kiedyś czytałem na tablicy w audytoryum uniwersytetu lipskiego wezwanie do studentów, ażeby uraczyli podobnym zaszczytem artystkę drezdeńską. Ale ostatecznie są ludzie, którzy aktorom rzeczywiście konie z powozów wyprzęgają. Niejednokrotnie zadawałem sobie pytanie: co aktorka, śpiewaczka itd. powinnaby zrobić, ażebym ją w zastępstwie konia zaciągnął do domu—i nigdy nie mogłem wyobrazić sobie wypadku, któryby mnie natchnął podobnem pragnieniem. Wprawdzie nie badałem się wtedy, kiedy moi koledzy wykłuwali sobie szpilkami na piersiach imiona kapłanek Melpomeny z trupy p. Ratajewicza w Lublinie i kiedy do uczniowskiego szyku należało rzucać pod ich stopy nieodrobione lekcye i bukiety, ale dziś stanowczo jestem niezdolny do gwałtownych w tym względzie uniesień, a tem mniej do wyprzęgania koni. Przeciwnie, wydaje mi się jakiemś zboczeniem umysłowem miłość i zapał do kobiety, która w życiu prywatnem uchodziłaby za brzydką i ograniczoną, a po wystąpieniu w teatrze porywa za sobą nietylko całe gimnazyum, ale całe zastępy literackie.

— Widzisz pani te zapałki?—rzekł pewien młodzian do jednej z naszych „naiwnych.“ Jeżeli będziesz mi wzajemną, posłużą mi one tylko do zapalania papierosów; jeżeli zaś nie—zjem je i umrę.

A tę naiwną tysiąc razy urodą i rozumem przewyższała jedna z moich znajomych, która została starą panną i na którą niejeden taki młodzian mocno się skrzywił. Daremnie ją namawiałem:

— Trzeba wystąpić w teatrze, a wkrótce dojdziesz pani do tego, że wielbiciele będą dla pani jedli zapałki.

Nie usłuchała—i została na koszu, pyszna niewiasta, która przytem dla podobania się (więcej niż prawdopodobnie) nie umiała używać ani waty, ani gutaperchy.

Otóż — jak rzekłem — na pojęcie tych dziwów życia nie posiadam w mózgu odpowiedniej komórki i dlatego proszę powyższą filipikę przeciwko zbytkowi przekreślić, jeżeli czytelnicy moi taką komórkę posiadają, tj. umieją za ostatnie własne lub pożyczone pieniądze przepłacać bilety teatralne lub wyprzęgać konie z powozów aktorek.

Kuryerowi warszawskiemu jestem bardzo wdzięczny. Od czasu do czasu uczy on dzieci literackie: „jak pisać należy“ — a chociaż w przerwach między tymi wykładami okazuje na przykładach, jak pisać nie należy, lekcye jego są pożyteczne. Zdaje mi się tylko, że przeładowywa umysły autorskie zbyt wielu prawidłami, które w naszej szkole piśmienniczej rzadko kto pamięta. Po co tam wymagać od dziennikarza obrazowości, lekkości i innych przymiotów? Ja bym był mniej wymagającym. Dałbym każdemu stopień celujący, który napisze ćwiczenie literackie bez następujących błędów: 1) nie użyje w jednem zdaniu kilkakrotnie tych samych lub równo brzmiących wyrazów (np. *Mając majątek miał* przytem itd.); lub: Powoływanie *się* na zapatrywania *się* dawnych uczonych okazało *się* itd.); 2) uniknie rymowania (np. *Śmiało brało* dziecko *mało* strzeżone owoce); 3) na 10 wyrazów polskich nie pozwoli sobie pięciu cudzoziemskich (np. nonszalancya naszych pik-poketów w sensie najgorszym manifestuje się itd.).

Dziennikarz warszawski, który tych błędów uniknie, może otrzymać dyplom autorski.

Tak nisko spadliśmy już z naszym publicznym językiem, że nam taka stylistyka wystarcza! Dla odczucia wszystkich jej okropności mam widocznie tę wiązkę nerwów, która innych ludzi pobudza do wyprzęgania koni aktorkom, bo nieraz bierze mnie chęć wyrwać pióro z ręki jakiegoś partacza literackiego i wyręczyć go w wyrażeniu najzwyklejszej myśli.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Geszeft z pobożnym szyldem. — Uchwały wypędzenia żydów. — Prawna i moralna wartość tego środka. — Wskrzeszenie pańszczyzny i rachunek dobrodziejstwa. — Muzykalność Lublina. — Na co zbrakło czasu, a na co nie zbrakło w Mińsku. — Przeniewierzenie.

Uroniliśmy już i otarli łzę współczucia dla losu braci naszych wygnanych z Prus i temi samemi ustami, które wykrzykiwały przed chwilą: okrucieństwo niemieckie, pogwałcenie praw najświętszych! itd. zachęcamy teraz chłopów polskich do wypędzenia żydów. „Niezależne“ od wymagań uczciwości i rozsądku pismo nie waha się twierdzić kłamliwie, że uchwały o wydalaniu żydów zgodne są z prawem, co więcej, że zgodne są z „etyką chrześciańską.“ Wątpię, czy kiedykolwiek dłoń bezwyznaniowca i liberała wymierzyła tak potężny policzek doktrynie chrześciańskiej, jak ten frazes wrzekomego jej zwolennika i wyznawcy. Z płaszcza Chrystusowego niesumienny przedsiębiorca wykrawa już nie sztandar, pod którym walczy, ale płachtę, na której pisze szyld i reklamę dla swego „uczciwego,“ „katolickiego“ geszeftu. Ponieważ ów organ „niezależny“ znajdujący głównie prenumeratorów w klasie nieoświeconej, pomiędzy szynkarzami i oficyalistami oraz w mniej wykształconych warstwach duchowieństwa i szlachty, wprost zachęca do tego rodzaju uchwał, inne zaś pisma pomijają milczeniem sprawę, którą należy koniecznie wyjaśnić — powracamy więc do niej raz jeszcze.

Pomijam logiczną i etyczną sprzeczność, zaznaczoną powyżej, którą możnaby wytłomaczyć chyba istnieniem dwóch serc w jednej piersi i dwóch mózgów w jednej głowie, gdybym nie wiedział, że tam ani serca, ani mózgu niema.

Rozbierzmy więc sprawę z praktycznego punktu widzenia, przyjmując jako pewnik niezbity, że żydzi stanowią żywioł pod każdym względem szkodliwy. Wypędzeni ze wsi lichwiarze i spekulanci przeniosą się do miast i miasteczek, które już teraz mają ich aż nadto i pozbyć się nawet za pomocą uchwały nie mogą. Dotychczas $^9/_{10}$ żydów żyje w miastach i, jak powiadają antysemici, nie zajmuje się pracą produkcyjną; czyż więc kilkotysięczny przyrost może zmienić te warunki? Dlaczego wreszcie miasta mają być pokrzywdzone na rzecz wsi i oddane na pastwę żydom, z którymi liczebny stosunek ludności czyni walkę stokroć trudniejszą? Należałoby także zapoznać się bliżej z przyczynami, które wywołały owe uchwały. Na Wołyniu np. kiedy wyszło rozporządzenie o wydalaniu nowo-osiadłych żydów ze wsi, o wykonanie tego postanowienia starali się zwykle ci izraelici, którzy posiadali prawo zamieszkania i pragnęli się pozbyć swoich współzawodników, chociaż ci byli ich współwyznawcami.

Wydalanie za pomocą uchwał gminnych stwarza przytem bardzo niebezpieczny precedens. W Królestwie posiadłości dworskie należą również do gminy, jeżeli postanowienie większości nie jest dla nich obowiązującem, to traci ono wszelkie znaczenie; arendarz bowiem wygnany ze wsi osiądzie na folwarku, w przeciwnym zaś razie kto zaręczy, czy chłopi wypędziwszy szynkarza, który ich wyzyskiwał, nie

wezmą się z kolei do gajowego, który zbyt skrupulatnie pilnuje lasu, do ekonoma lub włodarza, którzy zajmują im bydło za szkody itd.? Zresztą żydzi zamieszkali po wsiach należą bardzo często do kategoryi uwłaszczonych, posiadają ziemię i są równymi innym członkami gminy.

Czy i takich można wypędzać? Jeżeli nie, to znowu uchwały zalecane nie mogą mieć powszechnego zastosowania, jeżeli zaś tak, to sądzę, że chłopi, zasmakowawszy w polityce pięści i przekonawszy się o błogich jej skutkach, zastosują ją najprzód do dziedzica, który jako „ślachcic“ bywa zwykle „gorszy psa, gorszy żyda, gorszy kalwina.“

Co się tyczy praktycznej doniosłości zalecanego środka, to niema on żadnej podstawy prawnej i opiera się jedynie na orzeczeniu ukazu, że członkowie gminy mogą postanawiać uchwały obowiązujące ich w sprawach gospodarczych i innych. Potrzeba więc bardzo dowolnego i szerokiego tłomaczenia prawa, tak szerokiego i wykrętnego, że zdolną jest doń chyba tylko wyćwiczona na Talmudzie kazuistyka wychrzczonego rodu.

W danym razie nie tyle chodzi mi zresztą o prawną stronę kwestyi, ile o zaznaczenie, że kto przyjmuje zasadę, winien zgodzić się i na logiczne jej konsekwencye. Kto sobie wyjaśni tę łączność, która „urodzonemu przedstawicielowi narodu“ dodaje za niezbędnego towarzysza żydka faktora i arendarza a nieraz przyprzęga do nich i „pasterza dusz,“ ten zrozumie, że wyzysk żydowski jest tylko pewną odmianą, bez zaprzeczenia najprzykrzejszą w formie, pewnem kółkiem w ogólnym mechanizmie społecznym, poruszanym motorami przywileju i eksploatacyi. Węzeł kwestyi zadzierzgnięty jest nietylko na „cycełesach żydowskich,“ ale często i na litym pasie.

O! i jak jeszcze często!

„W Lubelskiem p. X. właściciel dóbr Y. przy sposobności w rozmowie z włościanami zaprojektował, że wystawi kilkanaście mieszkań dla robotników i do każdego mieszkania doda pół morgi ogrodu i utrzymanie dla jednej krowy zimą i latem, z obowiązkiem ciągłego chodzenia do każdych robót gospodarczych.

Za powyższe mieszkanie z dodatkiem ogrodu i utrzymania krowy włościanie bezrolni sami zaproponowali, że będą odrabiać 3 dni na tydzień, zaś resztę dni w tygodniu za wynagrodzenie pieniężne.

Dawniej za czasów pańszczyźnianych w majątku Y. gospodarz mający gruntu kilkanaście morgów odrabiał dwa dni pańszczyzny pieszej na tydzień.“

Pismo, z którego czerpię tę wiadomość, dodaje:

„To daje miarę, jak obecnie ludność bezrolna pragnie dachu i pracy, aby mieć zapewnione bardzo skromne utrzymanie.“ Bardzo skromne— nie! to za *bardzo skromnie* powiedziane.

Kiedym poprzednio fakt podobnego rodzaju nazwał wyzyskiem, zaproponowano mi, ażebym zrobił szczegółowy rachunek. I owszem.

Liczę w roku 280 dni roboczych, połowę z nich wyrobnik pracuje bezpłatnie, za co otrzymuje mieszkanie warte 12 rs. rocznie, utrzymanie krowy 15 rs. i czynsz z pół morgi ogrodu 3 rs. — razem 30 rs., co wynosi $21\frac{1}{2}$ kopiejek dziennie i oprócz tego dziedzic otrzymuje nawóz od krowy.

Zdaje się, że nie liczyłem za mało; w Lubelskiem w niewielkiej nawet odległości od miasta gubernialnego włościanie za przezimowanie krowy biorą rs. 10, pastwisko zaś letnie wynosi od sztuki 1 rs. 50 k. do 2 rubli. Dom mieszkalny dla dwóch rodzin nie kosztuje nawet 300 rs. Ale żeby mnie nie posądzono, że liczę za mało, sprowadzam wartość tych dodatków do 35 rubli.

Rodzina wyrobnika składa się, dajmy na to, z czterech tylko osób: dwóch dorosłych i dwojga dzieci, którzy potrzebują rocznie najmniej 50 pudów mąki i kaszy, na kupno tych zapasów trzeba więc wydać najmniej 45 rs. i to wtedy tylko, kiedy na dorosłego wypadnie 2 funty, a na dziecko funt chleba dziennie. Ojciec, według powyższego rachunku, za 140 dni płatnych otrzyma przypuśćmy 35 rs., matka, jeżeli może zostawić dzieci bez opieki za 200 dni w najlepszym razie dostanie 40 rs., razem 75 rubli. Dla zyskania takiego zarobku potrzeba, żeby rodzice pracowali bez wytchnienia, żeby choroba nie nawiedziła ich chaty, żeby wreszcie zawsze dla chętnych rąk znalazła się robota. Tylko przy tak szczęśliwym zbiegu okoliczności, nie trafiającym się nigdy prawie, przy niskich cenach zboża pozostanie im około 30 rs. na kupno soli i okrasy, odzieży i obuwia, światła wreszcie a może i opału, bo o nim nic nie mówi kontrakt. Pamiętać przytem należy, że wziąłem jak najpomyślniejsze dla wyrobnika warunki, i pomimo tego nie mogłem dlań wyrachować możliwości zupełnego zaspokojenia najpierwszych potrzeb. Z pół-morgi ogrodu wystarczy ogrodowizn zaledwie dla ludzi, trudno więc utrzymać nawet jednego wieprza i inwentarz wyrobnika składać się może chyba tylko z kur. O kupnie kawałka mięsa nędzarz taki marzyć nawet nie może.

Jeżeli to nie nazywa się wyzyskiem ludzkiej pracy, nie wiem już jakiego rodzaju fakty określać można tem mianem. Pogrzebana pańszczyzna zmartwychwstaje tu w formie stokroć straszniejszej, stokroć wstrętniejszej, bo uświęconej pozorami „dobrowolnej zgody.“ A jednak w tym wypadku prawo wypowiada się daleko jaśniej, aniżeli w kwestyi wypędzania żydów, zabrania ono wszelkich umów wznawiających pańszczyznę w jakiejkolwiek formie.

Opinia publiczna w Lublinie niema czasu myśleć o tego rodzaju sprawach, bo musi załatwiać daleko ważniejsze. Szczęśliwe to miasto, gorliwie wyznając zasadę „odrodzenia przez sztukę.“ posiadać będzie aż dwa zimowe teatry. Ponieważ jednak trudno przypuścić, żeby zamiłowana w teatrze publiczność napełniać mogła obie sale, zwłaszcza że połowa ludności Lublina obrzezała sobie wszelkie estetyczne popędy i uprawia „jeden i ten sam sztuk tylko na inny manier“ pożyczania pieniędzy i szacherki—idzie więc o to, co zrobić z drugim teatrem. Rozwiązanie znalazło się na prędce, dzięki naszej metodzie zaczynania każdej rzeczy od końca. Ponieważ jest sala, należy więc utworzyć towarzystwo muzyczne, które co tydzień urządzać będzie koncerty. Jakkolwiek nic nie mam przeciw tego rodzaju instytucyi, wątpię o jej powodzeniu—w Warszawie bowiem nawet towarzystwo muzyczne wlecze nędzny żywot. O ile sobie przypominam, muzykalność nie stanowiła nigdy wybitnej cechy lublinian, ale może teraz w usposobieniu ich zaszła zmiana.

Towarzystwo rolnicze w Mińsku które odroczyło na czas nieokreślony rozprawy w kwestyi podniesienia gospodarstw włościańskich *dla braku czasu*, znalazło go dość do opracowania wniosku o odjęciu włościanom prawa pasania bydła w lasach. Uchwała ta motywowaną jest częstymi wypadkami pożarów z powodu nieostrożności pastuchów. Gdyby nawet wzgląd ten był słuszny, każdy trzeźwo patrzący na rzeczy człowiek wie dobrze, że pomimo to serwitut pastwiskowy nie zostanie zniesionym. Po co więc występować z projektami, które, pomijając ich ujemne strony, nie mają żadnych widoków urzeczywistnienia i dają tylko broń do ręki pp. Mołczanowom i Strannikom?

W jednym tygodniu aż trzech pocztmajstrów umknęło, zabierając z sobą mniej lub więcej pokaźne sumki. Jeden z nich mieszkał w Królestwie, drugi na Wołyniu, trzeci na Litwie. Zgodnie z podziałem administracyjnym rozłożono straty moralne i materyalne na trzy sąsiednie prowincye.

J. Nieborski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 4 czerwca.

Wybory w Cislitawii wkrótce już będą ukończone. W dolnej Austryi centraliści zwyciężyli a nawet zdobyli jeden mandat. Natomiast przy wyborach w Styryi, Karyntyi i Bukowinie ponieśli porażkę. W maleńkiej Bukowinie zwykle każą się wybierać ministrowie, albo ci przywódcy, którzy nie mają nadziei zwycięstwa w innym okręgu. Znany centralista prof. Tomaszczuk pobity tam właśnie został przez przedstawiciela stronnictwa rumuńskiego.

Rząd angielski zaproponował Turcyi zajęcie niektórych miejscowości w Sudanie, grożąc, że w razie odmowy zwróci się do innego mocarstwa, Porta jednak odpowiedziała odmownie. Owem innem mocarstwem mogą być tylko Włochy, chociaż trudno przypuszczać, żeby, wobec nieporozumień z Abisynią, niechęci parlamentu i świeżo wykrytego deficytu, rząd włoski wdawał się w tak niebezpieczną awanturę.

Jednocześnie zjawiły się pogłoski o ustąpieniu wicekróla Egiptu Tewfika i powrocie do władzy ojca jego Izmaelu.

Jak wspominaliśmy poprzednio, Niemcy zaczynają poznawać smak owoców polityki kolonialnej i przeciw sułtanowi Zanzibaru, który napadł na posiadłości towarzystwa wschodnio-afrykańskiego wyrusza eskadra pod dowództwem kontr-admirała Knorra, złożona z kilku okrętów wojennych. Będzie to pierwszy debiut marynarki niemieckiej, i debiut, jak z góry można przewidzieć pomyślny, ponieważ Zanzibar nie posiada floty, któraby mogła z przeciwnikami walczyć; cała więc działalność niemców polegać będzie jedynie na bombardowaniu bezbronnych portów.

O podróży przyjaciela Gladstone'a lorda Roseberrego do Berlina gazety piszą wiele, ale z tych odkryć jedno tylko jest pewnem, co zresztą, od samego początku było wiadomem, że miała ona na celu zbliżenie Anglii do Niemiec. Czy zbliżenie takie i porozumienie chociaż w pewnych punktach nastąpiło i jakie mogą być jego rezultaty — dopiero przyszłość pokaże.

Układy w sprawie granicy afgańskiej zbliżają się już do końca; właściwie można już je uważać za dokonane, obie strony jednak starają się jak najdokładniej określić szczegóły, ażeby uniknąć nieporozumień w przyszłości.

Z podobnych powodów odracza się również traktat francusko-chiński; obecnie tłomaczą go na język chiński, a potrzeba nie mało pracy dla ścisłego oznaczenia niektórych warunków.

Gazety niemieckie zapowiadają zjazd trzech cesarzów, a nawet termin spotkania we Wrześniu.

Lwów. Przy wyborach przepadli dwaj urzędnicy Länderbanku: J. hr. Stadnicki i Oborski. Instytucya ta przestała już widocznie pachnąć wyborcom.

Berlin. Zdrowie cesarza Wilhelma budzi ciągle obawę.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sądy. Izba sądowa Warszawska rozpatrywała sprawę b. referenta wydziału śledczego w kancelaryi Oberpolicmajstra Sikorskiego, oskarżonego o zdzierstwo. Przed kilkoma laty Sikorski zgłosił się do dr. Heringa i oznajmił mu, że ma rozkaz śledzenia go, jako podejrzanego o udział w agitacyi socyalistycznej, ale że za pewną sumę może go od tego zarzutu uwolnić. Dr. Hering jakkolwiek uważał się za niewinnego, widząc wszakże że go tropią agenci, dał Sikorskiemu 100 rs. Usiłowania wyłudzenia powtarzały się kilkakrotnie przy pomocy niejakiego Rozrażewskiego tak, że wreszcie dr. Hering zmuszony był donieść o tem władzy. Z aktu oskarżenia okazało się że dr. Hering nigdy pod dozorem nie był. Izba sądowa skazała Sikorskiego na zesłanie do gubernii tobolskiej z pozbawieniem szczególnych praw i przywilejów.

Mianowania. Dyrektor chełmskiego gimnazyum męskiego Barsow mianowany ostatecznie inspektorem uniwersytetu warszawskiego; pełniący obowiązki inspektora gimnazyum kaliskiego Carewskij, dyrektorem gimnazyum chełmskiego; dyrektor szkoły realnej w Równem Dziublewski-Dziubeńko, dyrektorem takiejże szkoły w Krzemieńczugu; b. dyrektor szkół elementarnych w gub. Kurskiej Pawłow, dyrektorem w Równem.

Prasa. Pismo *Nabludatiel* otrzymało drugie ostrzeżenie za „kierunek przez rząd potępiony.“

Biblioteka główna w Warszawie wydała do czytania w r. 1884 110,000 tomów dzieł. Korzystało z czytelni 7,000 osób.

Ulanę Kraszewskiego p. Fr. de Mas przełożył na język hiszpański.

Nowe pismo zacznie wychodzić w Krakowie p. t. „Dzwonek trzeciego zakonu św. Franciszka serafickiego.“ Dziwne, że nie wcześniej.

P. T. Wierzbowski zamierzając pisać „monografię banknotów polskich,“ wzywa za pomocą *Kur. warsz.* posiadaczów monet, aby „raczyli porozumieć się“ z nim. Chociaż p. W. monecie poświęcił się od lat paru, wątpimy, ażeby uzyskał pomoc w swem dziele po za granicami tego poświęcenia.

Wystawa rolniczo-przemysłowa otwartą zostanie 9 czerwca.

— Wystawa szkiców urządzoną będzie przez malarzy warszawskich i w roku bieżącym.

Teatrzyki ogródkowe rozpoczęły już swoje przedstawienia.

Kraszewski sprzedał swą willę w Dreznie, zbiory zatrzymał ale również pragnie je zbyć.

W Studzieńcu (osadzie dla małoletnich przestępców) zebrali się na doroczną uroczystość przedstawiciele inteligencyi warszawskiej. Gospodarstwo kolonii w r. z. rozwijało się pomyślnie, chociaż zarząd musiał wykreślić 175 członków, zalegających ze składkami, a należy mu się jeszcze 31,000. Po naszemu, po naszemu!

Na konkursie *Tygodn. powsz.* pierwszą nagrodę za rysunek „typ dziewicy polskiej“ przyznano W. Gersonowi a drugą p. Stachiewiczowi.

Zakaz. Sarze Bernhard wzbroniono występów w Metzu i Strasburgu.

Roemigracya. Dzienniki amerykańskie zaznaczają, że w miesiącach zimowych więcej osób wyniosło się ze Stanów Zjednoczonych, aniżeli przybyło.

Statystyka. W gub. lubelskiej w r. z. liczono 795 fabryk i zakładów przemysłowych, w których pracowało 4,789 robotników. Wartość produkcyi wynosiła 7,900,000 rs.

Zmarli. Alfred Meissner znany poeta niemiecki.

— Terenzio Mamiani, filozof i mąż stanu włoski.

— Książe de Noailles, historyk i publicysta, członek Akademii francuskiej.

— Karol Rogier b. minister, jeden z głównych bojowników o niepodległość Belgii.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Мая 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski